

# PLUSZCZ

*Spółeczeństwo Literackie Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 16 MAJA 1931 ROKU

NR. 20.

TREŚĆ NUMERU: Posłannictwo Słowianek — *Jadwiga Krawczyńska*. Maturzystka — *Wanda Borudzka*. Wiosna w Hiszpanji — *Aura Wyleżyńska*. „Wiosna w tańcu“ — *J. Putiatycz-Surynowa*. Wiosna w malarstwie — *l. j.* Poezje: „Wiśnie w miasteczku“ — *Eugenjusz Żytomirski*. O prawa dzieci — *N. J. Ś. p.* Zdzisław Dębicki — *S. P. O.* Z odczytów — *M. A.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Sezonowe przeróbki — *M. Dobrowolska*. Czem dorobić — *Wanda Dobrzańska*. Jak schudnąć — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Kabaczki — *Zofja Wróblewska*. Leguminy na jajach — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“.

## POSŁANNICTWO SŁOWIANEK

W pierwszej połowie czerwca odbędzie się pierwszy w Polsce wszechsłowiański Kongres kobiety. Przygotowania, jakie w tym kierunku podjęto, pozwalają się spodziewać, iż Kongres będzie prawdziwie doniosłą manifestacją idei zbliżenia Słowian i realnym wyrazem współpracy kobiet na tem polu.

Sprawa jest nawskroś kulturalna i społeczna. Program „Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich w Polsce“ zapowiada cały szereg działań pracy na polu życia umysłowego, literackiego, szerzenie znajomości języków i kultur słowiańskich, propagowanie przemysłu i sztuki ludowej, urządzenie wycieczek, zjazdów, kolonij letnich, wymiany młodzieży, wystaw i ideowe zbliżenie kobiet różnych krajów słowiańskich. W statucie polskim zawarowano nawet, iż „Zjednoczenie“ jest organizacją apolityczną, nie wtrąca się w żadnej formie do spraw politycznych i że sprawy polityczne nie mogą być wnoszone na porządek dzienny obrad.

Tak ujęta działalność „Zjednoczenia kobiet Słowiańskich“ ma i będzie miała, mimo to, głębsze znaczenie polityczno-gospodarcze. Tak bywa z wielu innymi zjawiskami. Same przez się nic nie mające wspólnego z polityką, wywierają jednak wpływ głęboki na życie państw i narodów i kształtowanie się wypadków politycznych. Trzeba to sobie dobrze uświadomić, by zrozumieć doniosłość akcji, podjętej obecnie przez kobiety polskie, oraz wagę odpowiedzialności, jaką biorą na siebie.

Człowiek głodny i ubogi jest najczęściej zupełnie obojętny na politykę — co więcej, może odznaczać się zupełną ignorancją w kwestjach rządzenia i dy-

plomacji. A przecież człowiek głodny stawał się tak często w historii sprawą olbrzymich przewrotów politycznych, czynnikiem polityki państwowej wewnętrznej i międzynarodowej. Nauczyciel polski, który w czasach zaborczych uczył dzieci ojczystego języka, daleki był od „zajmowania się polityką“, a w swej ubożuchnej obowiązkowości i uczciwości spełnił potężne zadanie dziejowe, któremu wspaniale dał świadectwo „żelazny kanclerz“ Niemiec. A cóż o polityce wiedziała chłopka, ciemna dusza z pod Lublina lub na Kaszubach? Jednak jej dziełem, w równej mierze, jak pisarzy i bojowników konspiracji, stała się niepodległość Ojczyzny, wydobyć się narodu do bytu państwowego.

Czynniki kulturalne i uczuciowe stanowią właśnie owe potężne „imponderabilia“ historyczne, owe nieobliczalne w skutkach siły drzemiące, potencjalne, tylko częściowo ujawniające swe istnienie, a w chwilach ważkich wybuchające na powierzchnię życia, by je zmienić, przekreślić, albo — zawieść.

Idea zbliżenia wszechsłowiańskiego nie jest wcale nową — nie jest jednak rzeczą przypadku, iż teraz właśnie do niej powrócono. Oczywiście, ujmuje się ją obecnie w inne formy, niż ongi, choćby przed wojną europejską, bo szereg warunków zmienił się gruntownie. Stara jednakże idea, której jasne błyski znajdziemy w niezawodnych naukach Mickiewicza i wielu jego wyznawców, zachowała swą moc i siłę realną. I dziś świat słowiański jest w sytuacji, która w naglący sposób każe myśleć o zwarciu w wspólne ognisko wysiłków narodów jednego szczepu, narzucając

zbratanie się, jako linję polityki i gospodarki obronnej, mającą wielkie szanse twórcze. Trudności i niebezpieczeństwa zewnętrzne, w jakich znalazł się ogół państw słowiańskich, tej właśnie koncepcji porozumienia, współpracy, zbliżenia, sojuszów i zjednoczeń bratnich narodów nadają bezpośrednią aktualność.

W tych warunkach wystąpienie na widownię zrzeczenia kobiet, mającego cele kulturalno-społeczne, jest zjawiskiem o znaczeniu nawskroś politycznym — to znaczy, mogącem mieć znaczenie polityczne, mogącem dodatnio lub ujemnie wpłynąć na sprawy Państwa. Bo, być może, że kobiety słowiańskie we wzajemnem zbliżeniu nie znajdują dość treści, może nie będą miały dość idei, by wyjść poza szranki herbattek towarzyskich i kolonij wakacyjnych. Może — chociaż nie tego spodziewać się należy, opierając się na przesłankach doświadczeń i dotychczasowej działalności Słowianek w ich krajach.

Dla nas sprawa zjednoczenia Słowianek ma dwa oblicza: jedno — wewnątrz kraju, drugie — na terenie wszechsłowiańskim.

W Polsce podjęcie akcji ma znaczenie wielkich, ogólnopństwowych zamierzeń. Zamierzeń — jeśli chodzi o czyn realny — nowych, jeśli chodzi o ich przeprowadzenie — niezmiernie trudnych.

Mamy na obszarze Rzeczypospolitej kilka narodowości słowiańskich, nie żyjących bynajmniej ze sobą w zgodzie i harmonji. Trzeba je pogodzić — naprawdę zjednoczyć. Ale porozumienie kulturalne i społeczne z Rusinkami i Ukrainkami, wśród których też panują różne prądy ideowo-polityczne, zbliżenie z Białorusinkami, mało dotychczas uświadomionymi, nawiązanie stosunków z nielicznymi wprawdzie Rosjankami i Czeszkami — to zadanie bynajmniej niełatwe, wymagające dobrej woli, rozumu, cierpliwości. Trzeba mieć głęboką świadomość humanitarnej i państwowej wartości takiej akcji kulturalnej, która jedynie może złagodzić naprężone stosunki i zespolić obywatelki jednego państwa w celowej pracy jednoczącej i twórczej.

Na terenie wszechsłowiańskim Polki stoją w obliczu sióstr z Czechosłowacji, Jugosławji, Bułgarji — Rosja dziś ze specjalnych przyczyn stoi poza nawiasem. I w tych krajach niema jednolitego plemienia słowiańskiego: w Czechosłowacji są Czeszki, Słowaczki, Ukrainki, Polki; w Jugosławji — Serbki, Słowenki, Chorwatki; Bułgarja ma może najbardziej jednolitą ludność. Ale, jak nas informują znawczynie stosunków, w organizacjach wymienionych krajów daleko jeszcze do konsolidacji, do powszechnej reprezentacji wszystkich narodowości słowiańskich. Byłoby bardzo pożądane, by Polki mogły wykazać się przed swemi przyjaciółkami słowiańskimi większą w tym kierunku solidarnością, wyższem wyrobieniem politycznym i szerszą ideowością, pozbawioną szkodliwego i ciasnego nacjonalizmu, oraz doskonalszą organizacją. Pod tym ostatnim bowiem względem — tu

opieram się na relacjach naszych delegatek na zeszłoroczny kongres w Pradze Czeskiej — istniał dotychczas niepożądany chaos: w wymienionym kongresie brały udział organizacje, niemające nic wspólnego z ideą zbliżenia słowiańszczyzny, jak i poszczególne osoby prywatne, przemawiające i głoszące na równych prawach z przedstawicielkami organizacyj zagranicznych, reprezentujących kraje Zjednoczenia.

Mimo stosunkowo krótkiego czasu, „Zjednoczenie Kobiet Słowiańskich w Polsce“ już wiele dokonało we wszystkich poruszonych tu dziedzinach. Jak wykazał odbyty w dn. 19.IV w Krakowie Zjazd walny delegatek z terenu Rzeczypospolitej, akcja rozwija się celowo i logicznie. Zaczęto bowiem od uzgodnienia stanowiska różnych odłamów ideowych wśród samych Polek, jako najliczniejszych i zajmujących stanowisko przodujące na terenie Rzeczypospolitej.

W tem właśnie wzniesieniu się ponad poglądy partyjne, w szukaniu porozumienia na platformie ogólnych idei państwowego i wszechsłowiańskiego znaczenia — leżał głębszy sens Zjazdu krakowskiego.

Wyniki tej koncepcji były dodatnie: szereg punktów, z pozoru spornych, udało się uzgodnić, udało się wytyczyć zasadnicze linje postępowania i działania. Osiągnięcie tej solidarności powinno być dobrym przykładem na przyszłość.

Wprawdzie na Zjeździe krakowskim nie było Słowianek innych grup z obszaru Polski, lecz wiadomo już, że do Koła lwowskiego, stanisławowskiego, a zapewne i do innych weszły członkinie-Ukrainki, i w nadziei dalszych w tym kierunku postępów rozwoju akcji, pozostawiono w nowowybranym zarządzie naczelnym jedno wolne miejsce dla przedstawicielki innych grup słowiańskich, w komisji rewizyjnej — dwa wolne miejsca.

Obrady toczyły się głównie nad poprawkami do statutu Zjednoczenia na terenie Polski oraz nad projektem statutu wszechsłowiańskiego, który będzie przedstawiony Kongresowi do uchwalenia. Trudności, nastęrczające się w tej pracy, zostały szczęśliwie pokonane, dzięki pierwszorzędnym walorom przodujących działaczek, taktowi i energii przewodniczącej pos. Jaworskiej, oraz dobrej woli całego zespołu obradujących. W dyskusji były momenty lepsze i gorsze, górę wzięły jednakże wartości intelektualne i społeczne i wysokie u niektórych mówczyń wyrobienie, giętkość i zręczność w znajdowaniu kompromisowych rozstrzygnięć. Oby tylko ta zasada solidarności i bezstronności nie została zapomniana w dalszej pracy!

Program Kongresu, opracowanie porządku dziennego i przygotowanie techniczne Kongresu, który odbędzie się w Warszawie, przekazano zarządowi naczelnemu (skład podaliśmy w rubryce „Kobieta w świecie i w domu“) i Kołu warszawskiemu. Po obradach, uczestniczki Kongresu zwiedzą Kraków, Katowice i Zakopane, być może i Gdynię, aby dopełnić wrażenia gościnności całej Polski.

Kobiety polskie rozpoczęły tedy nową, doskonałą w założeniu i celach, akcję. Mają przed sobą wielkie posłannictwo (wątpiących w to słowo odsyłam do... Mickiewicza i do głębszych studjów nad współczesną historją i polityką).

Można z każdej idei zrobić karykaturę... można

każdą dobrą sprawę sparaliżować. Ale można też z niej zrobić żywe, owocujące drzewo.

W tym wypadku stanowisko mądre i przewidujące, szczerze przeciwstawiające się jątzeniom i „wojnom“ na jakimkolwiek polu, musi być punktem wyjścia — jeżeli ma się dojść do celu.

*Jadwiga Krawczyńska.*

## MATURZYSTKA

Żadnych hafcionych serweteczek, ogonów przy sukni, parasolek, żadnego snobistycznego opalania. Żadnego umiłowania własnego „kącika“. Nocleg najmiłszy w obozie na sianie, a na letnisku siennik jeździ po wszystkich kątach, żeby upatrzeć okno, z którego najwięcej wieje. Marzenie? Trampolina!

Wakacje spędza się nad jeziorem z rodziną. Co to jest rodzina? Jeśli to mówi starsza siostra, ma na myśli młodszą siostrę (maturzystkę), młodszego brata i rodziców. Jeśli młodszą siostrę — rodzina oznacza starszą siostrę, młodszego brata i rodziców. Jeśli młodszego brata, to... dalej już wiadomo, prawda?

Tylko rodzice nie używają nigdy tego słowa w stosunku do dzieci. Widocznie więc rodzina — to najbardziej rodzice. Nie, żeby lekceważenie kryło się w tem określeniu. Zamieszane w nie jest jednak pojęcie słabości. Rodzina — to: zaziębicie się. Rodzina — to: czy nie masz aby gorączki? Rodzina: wolałabym, żebyście nie przepływały całego jeziora, 12 dni na wycieczce — *dlaczego* wydałyście na dwie tylko 5 zł. 50 gr.? Niestety, Niestety! Rodzina — to najbardziej Mamusia, której nie chciałoby się robić przykrości, a niesposób odczuć, zrozumieć, uznać za logiczny jej dziecinny niepokój.

Rodzina — to jednak wiąże. Trzeba powoli, nieznacznie i pedagogicznie więzy te rozluźniać. Żeby to i owo weszło w zwyczaj. Wtedy już przestaje dotykać, zawadzać i niepokoić.

Maturzystka jest antytezą pojęcia rodziny. „Ona ma z nas wszystkich najzdrowszy pogląd na świat“ — mówi brat z drugiej klasy, niepomny, że przed kwadranssem osoba o zdrowym poglądzie nakładła mu „makaronu“ po karku. Może właśnie to wzbudza uznanie? Jakżeby się ją tępiło, dogryzało i dojadalo, gdyby tak objawiła panięńskie skłonności, jakieś pudry, flaszki, pomadki! Ale trudno. Na tem jej nie przyłapie. Szczotka do zębów („moją zawsze czyszczą pantofle“ — skarży się brat) i oblamany grzebyk, ciśnięte byle gdzie — to cała kosmetyka. I woda. Woda rzeczna, woda jeziorna, woda studzienna, woda źródłana, woda z kranu — nigdy jej dosyć, zawsze jest miła. Nie zna się tylko morskiej wody. Z jakąż rozkoszą ciśnie się w nią giętkie ciało „młodego efeba“ na przyszły rok, po mozolnem pie-szem wędrowaniu! Godnie powita się ją ząbą, owera-

rem, kozackim, crawlmem i czem tam jeszcze! Może w tym ostatnim wytężonym treningu mięśnie staną się takie właśnie, jakie mają być? Bo zawsze im się coś zarzuca. Jeszcze i jeszcze za mało.

— Postaram się tak trenować, żeby po śmierci była ze mnie pociecha w prosektorjum — (starsza siostra, medyczka, narzeka na tłuszcz, utrudniający preparaty).

— Dlaczego żyjecie z plotek sportowych? Cemu trenujecie, jak dzikusy? Macie przecież związki sportowe?

— Nie można było — klaruje Mamusia — ten rok jeszcze babrała się ze szkołą, teraz będzie im łatwiej we dwie.

Sport w szkole?

Już po maturze, po drodze na tennisa w sukni bez rękawów, nastąpiło niefortunne zderzenie z nauczycielką.

— Drogie dziecko, ale nie będziesz tak więcej chodziła, przyszyjesz sobie rękawki? Obiecuj mi, że przyszyjesz.

Nie, już nie przyszyje. Do licha z rękawkami!

Niepokoje sercowe? Na to jej nie nabierze. Na romansowych chłopców mówi się bez subtelnych różniczeń: żuliki. Na ślizgawce tych dwóch, jednakowo ubranych sióstr, zawzięcie trenujących jazdę figurową, nikt nie zaczepia. Morowe! Najpierw wyśmieją. Potem powiedzą mocne słowo. Wkońcu rozciągną draba na lodzie — od czegoż są mięśnie, nad którymi się tak uczciwie pracuje! Herod baba? Zatrącenie kobiecości?

— Amerykańskie okulary i kij grubości pięści! Ładne atrybuty młodej panienczki! — żyma się ojciec (rodzina, widać, ma romansowsze wspomnienia z tego okresu).

Nie. Bądźmy sprawiedliwi. Szafirowe oczy, rzęsy-firanki, loki same z siebie, twarz płonąca różanem zmęczeniem w dusznej trzeciej klasie podczas wycieczki dokoła Polski — czyż to brzydkie? A stosunek do życia? Wybór zawodu? Maturzystka ma za sobą przecie śliczną szkolną karierę.

— Na początek skończę prawo — mówi niedbale.

Ma się ochotę ucałować ją za to: na początek. Ale nie wolno jej całować. Powiedziałyby, że się ją liże.

*Wanda Borudzka.*

## WIOSNA W HISZPANJI

*Patrzac na obrazy Vincente Mulet, Palais de Marbre — Paryż.*

### MOST MIŁOŚCI.

Nawet pod wiecznie niebieskiem niebem Andaluzji zjawia się dzień, w którym się mówi: wiosna przyszła. Mury bujniej się wówczas stroją w bukiety, pod oknami świeże w wiszących wazonikach zakwitają kwiaty. Dziewczeta weselej zapalają latarnie przed obrazem Santa Virgen de los Gozos — Świętej Dziewicy Radości.

To jest dzień, gdy ciszej, niż zwykle, a jeszcze, niż zwykle namiętniej, w małej wioszczynie Magente narzeczeni proszą narzeczone:

— Przyjdź dziś na most Miłości!

Novio szepcze, novia nie słucha.. Tylko rumieniec płynie po jej rozpalonej twarzy.

O zachodzie słońca, na Puente del Amor przychodzą pary, coraz nowe przychodzą, do zmierzchu, do pierwszych gwiazd, do pojawienia się księżycy, do głębokiej nocy.

Po wąskim moście mijają się, jak w tańcu, jak taneczne pas, krzyżują się ich słowa. Niekiedy słowa znanych pieśni, niekiedy słowa nowych pieśni, które jutro, wieś powtórzy, pojutrze „copla“ dojdzie do miasta, obiegnie cały kraj, aż poeta w poszukiwaniu kapitału czterowersz na własny zapisze rachunek.

#### Copla radości:

Zgubiły się dwie gwiazdy  
I szukają w świecie.  
Otworzyłaś swe oczy —  
Znalazły się dwie gwiazdy!

#### Copla skargi:

Gdyby lży stać się mogły perłami,  
To z mych, dla ciebie wylanych,  
Po środku morza stanąłby  
Zameczek zaczarowany.

#### Copla rybaka:

Raz, gdy niewód zapuściłem,  
Złotą rybkę ułowilem...  
Łat piętnaście dziewczę miało,  
Żoną mi być obiecało.

#### Copla najpiękniejszej:

Różą matka mnie nazwała,  
Przeto bardzom nieszczęśliwa,  
Bowiem każda w świecie róża,  
Płatki gubiąc — umierała.

#### Copla namiętności:

Pragnę ciebie, i znów pragnę,  
I chciałbym cię mieć jeszcze!

Nad Mostem Miłości zjawia się jutrzienka. Na zakratowanych oknach cień się rysuje niespokojnych matek.

— Czas do domu!

#### Copla pożegnania:

Po bardzo wysokiem niebie  
Chrystus-Pasterz chodzi.  
Do kieszeni kamizeli  
Księżyc i gwiazdy zbiera.

### BUNT OSIOŁKA.

Zadumał się, jak człowiek. Niedarmo przez dziesięć lat słuchał rozkazów człowieka. Słuchał ich niechętnie, choć spełniał posłusznie. Oporem manifestował swą wolę, aby czynem rzec się jej na korzyść swego pana. Znosił nietylko jego głos, jego rozkazy i razy, ale też dźwigał wszystko, co kładł mu na wąski grzbiet: kramik z jarzynami, budzący zachwyt cudzoziemców, gdy rano, z krzykiem i namową kupowania przeciągali pod oknami pensjonatu Alhambra; syna gospodarza, strojnego w wielki kapelusz andaluzki, i ukochaną cygankę, gdy bogata szczęśliwymi wróżbami, w Wielkanoc jechała z nim do Sewilli na doroczny jarmark — la feria. W razie przeprowadzki osiołek nosił cały dobytek, w razie śmierci kogoś z rodziny podejmował się dostawić trumnę. W dodatku dźwigał własny strój — siodło granda, czaprak magnata, z czerwonymi pomponami, podzwaniający błyskotkami.

Osiol musiał aprobować wszystkie pomysły starego don Miguela. W tej chwili, gdy sprzedawał wazy, choć słońce granadzkie wiosną mocno przygrzewa, stać mu kazał po środku uliczki, a sam poszedł do baru na kieliszek Anis de Osso, który przegryzie różowemi krewetkami, żartami z przyjaciółmi, zabawą nożem z wrogami. Pewno znów wróci pijany. Ty czekaj, boś osioł!

A gdyby opuścić wiecznie poddane stanowisko? Zdobyć swobodę?... Nieśmiało uczynił kilka ruchów, ale uliczka bez rogów powiodła go dalej, coraz dalej. Najpierw szedł spacerowym krokiem, potem biegł, rozbrykany puścił się przed siebie, aż wpadł na żywną „wegę“, obiecującą dobre pożywienie. Zdecydował — osła tak łatwo wyprowadzić w pole! — iż bę-



*Vincente Mulet: „Osiołek“.*



Vincente Mulet: „Rybak“.

dzie tu codziennie przychodził na śniadanie. Narazie przedewszystkiem pić mu się chciało. Dotarł więc do rzeki, tam, gdzie Gentil rzuca się w objęcia Darro, nad którym dumal ostatni sułtan Maurów, a niejedna turystka przyglądała się w nim głębokościom swej duszy. Zatrzymał się osiołek. Zdawało się, że bystra woda z uprzejmości dla zbuntowanego też się zatrzymała. Napił się jej łyk jeden i drugi i wówczas zobaczył to, czego oddawna nie miał sposobności widzieć, pijąc wodę ze źródła: zobaczył siebie. Z rozpaczą przekonał się, że on — to tylko ta, wyschnięta, szarą skórą, z wytartą sierścią, pokryta zabawką, na której bezczelny don Miguel swoje, nie jego, wypalił imię! Wszystko zaś, co stanowi ozdobę marnej postaci: siodło granda, czaprak magnata, czerwone włóczkowe pompony i podzwaniające błyskotki — to łaskawy dar pana!

Jak mu z tem jednak do twarzy! Nie, nawet za cenę swobody nie zdejmie tych ozdób!

Długie uszy położył po sobie, i, skruszony, wrócił na wiecznie wyczekujące stanowisko.

Tymczasem słońce stanęło prostopadle nad białą uliczką i paliło po afrykańsku. W świetle jego zgasł blask latarni świecącej Nuestra Senora de la Esperanza — Naszej Pani Nadziei. Nic dziwnego, że pusto było wokoło, każdy wolał spać za czerwonymi drzwiami.

Don Miguel pił teraz mocną manzanillę, dalej przegryzał ją różowymi krewetkami, żartami z przyjaciółmi i zabawą nożem z wrogami. Ponieważ, jako prawy Hiszpan, nigdzie się nie śpieszył, wrócił do osiołka, gdy słońce pokładło już długie cienie. Przywitany grzecznie, nie domyślił się wiosennego buntu.

#### WIOSENNA PRZYSIĘGA.

W toledańskim starym kościele Cristo de la Vega, w Wielką Sobotę zakrystjan odsłonił żalobny fiolet, zakrywający drewnianą figurę Chrystusa, zdjął

zeń czarną przepaskę, ubrał w białą sukienkę z szarfą.

W grzędce różowych goździków ustawił relikwiarz, majolikowe popiersie Świętej Tekli, naiwnymi oczyma patrzącej przed siebie, choć w łonie skarby przebaczenia kryje.

Don José bardzo dumny był ze swego dzieła. Wiedział, iż wiele dziś ludzi przyjdzie pomodlić się przed cudownym ołtarzem. Oto zdaża — dwoje. Ona ma czarną suknię, na lśniących bardzo włosach o wysoki grzebień opartą koronkową mantylę, która ją całą zakrywa. On nosi sombrero, capa jego, po senatorsku przerzucona przez prawe ramię, brzeg czerwonego aksamitu spodu ukazuje. Oczy ma też wielkie i tak czarne, jak ona. Tylko, gdy jej, półkolem cienia podkreślone, w serce kochane patrzy, jego idą przed siebie, błyszczące ciekawością świata.

Uklękli oboje.

— Przysięgnij!

Przysiął.

Wracali wolno. Na bardzo niebieskim niebie świeciło tak złote słońce, iż bronz murów Toledo w stare złoto zamieniało. Miasto biło jednym dzwonem — Tocada da Gloria — Dzwonienie Chwały.

Teresita i Antonio przyjechali z Madrytu na wielkotygodniowe procesje. Po długich naradach, ze względu na jego bliski wyjazd do Paryża, rodzice pozwolili narzeczonym na tę wyprawę, tylko zaopatrzyli ich w duegnę, mającą nieodstępnie towarzyszyć młodemu. Pocziwa dona Francisca tak się dziś po całonocnej procesji czuła niemocna, iż pozwoliła pupilce iść samej do kościoła. Wolała chować siły na niebezpieczne wieczorne kino. Grać mieli „La aldea maldita“, gdzie podobno występuje kobieta złych obyczajów. Una chica muy guapa y amiga de hacer favores...

Szli pod parasolem rozpalonego nieba, dwie czarne, płonące żagwie.



Vincente Mulet: „Zakochani“.

— Opowiedz legendę.  
 — Przecie ją znasz! mi amor!  
 — Opowiedz!  
 — Czasu wypraw krzyżowych rycerz na wojnę pojechał. Obiecał kochanej, gdy żyw wróci, miłość wierną i nienaruszoną. Wrócił. W dalekiej krainie oddał miłość innej kobiecie. Takiej, która kwefem zakrytą twarz różem miała malowaną. Dziewczyna przed sąd go pozwała i Chrystusa z kościoła za świad-

ka złamania przysięgi podała. Chrystus zaświadczył— rękę od ramienia krzyża oderwał i ku dołowi opuścił.  
 — Przysiagleś! Ale ze mną nie stanie się to samo?  
 — Nie! Amor mio!

Uwierzyła. Bo było to w Hiszpanji i była wiosna. Zstępowali schodami ukwieconej uliczki, za której rogiem na kilka godzin zegnała się inna para, szczęśliwa, obywająca się bez przysiąg.

Albowiem on nic o Paryżu nie wiedział...

*Aura Wyleżyńska.*

## „WIOSNA W TAŃCU“

*Kózka Morlon'a. — Wiosna w tańcu Lizy Duncan. — Najmodniejsze, wiosenne modele taneczne w „Académie de Danse“. — Czego dokazała dyrygentka Opery Wiedeńskiej? — Berlin reformuje swoją sylwetkę fizyczną i duchową. — Zły stopień z gimnastyki! — Privatschule i Tanzschule. — Duchowa córka Izadory w Paryżu i marna jej kopja w Berlinie.*

Wiosenna łąka. Jakże świeża jest trawa i jaki zapach ma jej młoda zieleń! Szesnastoletnie dziewczątko chce po tej łące „brykać, jak źrebię“ i „skakać“ po niej, jak ta mała, śmieszna kózka na rzeźbie Morlon'a\*). Cóż z tego, że to „skakanie“ nieopatrnie grozi niebezpieczeństwem „złamania nóżki“? Młodość jest niefrasobliwa, chwytą radość promiennie i nieopatrnie bez... ciężaru refleksji... Ta niefrasobliwość młodości jest napiętniej uśmiechniętym jej czarem.

Tak właśnie uśmiechać się i cieszyć wiosną umie w swym tańcu Liza Duncan. Paryska scena teatru „des Champs Elysées“ zamienia się w łąkę, kiedy na niej tańczy „Liza“... Niema dekoracji, są tylko szare, aksamitne zasłony, ale „czuje się“, że na scenie słońce wschodzi i na łące kwiaty kwitną, które trzeba zebrać do zwiewnej, różowej tuniki, aby je po chwili lekkomyślnie rozsypać wokół. Nie słyszy się dźwięków fletu, ale flet gra zwiewnością rozspiewanego gestu i upojonego słońcem uśmiechu. Niema nikogo więcej, oprócz Lizy, na scenie, ale wszyscy to czują, że ktoś nadchodzi... Kto?... Przeczucie miłości... Rozswawolone ruchy nabierają rozleniwienia... Upojona rozmarzeniem główka opada w tył. Ręce bronią się przed czymś wstydliwie i bezwolnie...

Taką jest wiosna Lizy Duncan! Wiosna, bawiąca się bańkami mydłanymi, rozsypująca róże, tańcząca pod zwiewnymi szalami złudzeń i grająca na najpiękniejszych strunach marzenia.

Inna jest wiosna w „Académie de Danse“ w Paryżu. W „Akademji“ wiosna prezentuje nam najmodniejsze, wiosenne modele... taneczne: zmodernizowane „tanga“ i zreformowane „walce“... W wiosennym „tango“ trzyma się, moi państwo, danserkę znacznie dalej od siebie! A walce się tańczy... tak, jakby to chciał widzieć sam Strauss. Strauss zapomniany i przywrócony obecnie do dawnej świetności przez... kobietę! Jest nią urocza dama w niebieskiej krynolinie, przybranej różowymi różami. Urocza dama, grająca pierwsze skrzypce w Wiedeńskiej Orkiestrze, złożonej z kilkunastu... popielatych fraków. Urocza dama, oszalałająca Paryż w teatrze „Empire“...

„Tam, gdzie djabeł nie może, tam kobietę posłać“. — Irytowali się na „jazz-band“ rozmaici krytycy muzyczni, oburzała się prasa, pokornie w jego takt podrygiwały tłumy, ale... nikt i nie na to „zło konieczne“ poradzić nie umiał.

Czego nie dokazały gremjalne protesty — doko-

nały dwie małe, białe i upierścienione rączki, grające pierwsze skrzypce w wiedeńskiej orkiestrze i dyrygujące zarazem tą orkiestrą. Dzięki tym pięknym rączkom, Strauss obecnie króluje w wiosennym Paryżu... Przelewają się jego walce po całym „Paris“ szumnie i rozlewnie falami „Modrego Dunaju“ i zasypują bulwary „Różami Południa“... W teatrze Empire zaś, w świetle reflektorów czaruje wszystkich piękna dama w krynolinie, upajająca zmiennością nastroi, ściszeniami cudownych „pianissimo“ i porywającym rytmem temperamentu tanecznego...

Nic więc dziwnego, że w paryskiej Akademji tańca — wiosenny walc króluje. Komplet „1-er degré“ tańczą go w prawo. Komplet „2-e degré“ tańczą go już w lewo! (we wtorki i piątki). Komplet „perfectionnement“ tańczą go „we wszystkie strony“



*Wiosenny uśmiech Lizy Duncan.*

\*) Reprodukacja rzeźby Morlon'a na str. 9.



„Ręce bronią się przed czemś wstydliwie i bezwolnie“.

(w niedzielę) upojnie, faliście i zmiennie, jak tego chciał sam Strauss!

Berlin na wiosnę oczywiście też tańczy! Czy to będzie na dachu „Café Berlin“, czy w setkach tanecznych szkół berlińskich — Berlin tańczy! Niemki stopniowo pozbywają się swej pruskiej ociężałości i wagi. Niemki mają teraz kształty subtelniejsze w zarysach na dawnym, grubokościstym... rusztowaniu! Niemki tańczą, gimnastykują się, uczą się „plastyki“ — reformując nagwałt swoją sylwetkę fizyczną i duchową. Stają się lżejsze w tańcu i „lżejsze“... w życiu... Inicjatywę reformy wychowania fizycznego dało państwo, zakładając „Stadiony“. W stadjonie, przymusowo, każda uczennica — studentka i pracująca zarobkowo kobieta — musi brać lekcje gimnastyki. Ten przymus ogromnie przypomina dawne, militarne komendy Hohenzollernów. Uczeń i uczennica w szkole muszą mieć dobre stopnie z gimnastyki pod grozą... zatrzymania na drugi rok w klasie, lub nie otrzymania matury! (autentyczne).

Współczesna niemka gimnastykuje się i tańczy, czy chce, czy nie chce. Przedewszystkiem w „Hochschule für Leibesübungen“ (godzina drogi od Berlina) ćwiczy się w zwartych szeregach sportowo-klubowych. Całą zimę gimnastykowała się w zamkniętych, wielkich salach, pod szklanymi dachami, przez które zaglądało zimowe słońce. Teraz, na wiosnę „ćwiczyć“ będzie pod gołym niebem, na olbrzymiej arenie, gdzie będą się jej przyglądały, jak za czasów Rzymskich, tysiące widzów, siedzących w wielkich, półkolistych amfiteatrach.

Oprócz gimnastyki w „stadjonie“ — niemka uczy się tańca w rozmaitych „Privatschule“ i „Tanzschule“. Taniec ten jest różnorodny: na czubkach palców (M-me Adrienne Méeran — uczennica Preobrażeńskiej), à la Duncan (plastyka) i modernistyczny (Fr.

Anna Herrman). Niemka kopjuje w tańcu petersburski balet, klasyczną pozę, francuską lekkość i szwedzką tężyzną fizyczną, ale... kopjuje źle i nieudolnie... Sławna Izadora zostawiła w spuściźnie całą szkołę taneczną i kilka sławnych uczennic. Jej „córki duchowe“ we Francji odczuwają ją — jej uczennice berlińskie... naśladują ją. W Paryżu najlepszą swą uczennicę Izadora adoptowała. Jej córka taneczna — to Liza, kontynuująca ideologję swej przybranej matki — ideologję wyśpiewanej tanecznie pieśni... Patrząc na nią, jak tańczy jedną z „trzech gracyj“, „taniec rewolucyjny“ i „amazonkę“ — kreacje dawne Izadory — widzi się piękne koncepcje tamtej, odczute każdym nerwem i przepojone nastrojem muzycznym. W Berlinie Fr. Grimm-Reiter tańczy te same tańce, ale... są to tylko pozy i gesty. Jej „Gracja“ nie ma gracji... Jej „amazonka“ (w krwistej tunice) nie szaleje i nie napada w tanecznym pędzie, nie osłania się niewidzialną tarczą i nie pada, ugodzona niewidzialnym mieczem... Jej „amazonka“ wykonywa tylko szeregi mechanicznych i rytmicznych poruszeń. A sławna „Kapłanka z Delf“? W roli tej Grimm-Reiter jest manekinem, podczas kiedy Liza Duncan w Paryżu zdaje się być antyczną sylwetką, która w harmonijnych faldach tuniki zesła z czarnej, greckiej amfory i trwa w mistycznym rozmodleniu i duchowem zapamiętaniu. Wokoło niej chwieją się szare, aksamitne zasłony, ale wszyscy widzą... piękny świat pogańskiej Hellady...

Berlin i Paryż na wiosnę tańczy. Tylko że... berliński taniec przypomina wiosnę, jaką się widzi na wystawach sklepowych, pełną sztucznych kwiatów, wypchanych ptaszków i zieleniących drzewek, zrobionych z crêpe georgette'y i „toile de soie“, a paryski taniec jest samą wiosną, radością i wdziękiem, majem i uśmiechem, miłością i upojeniem.. Paryski taniec — to kwiaty, które pachną i słońce, które grzeje!

J. Putiatycz-Surynowa.



„Liza“ tańcząca.



Botticelli: „Primavera“.

## WIOSNA W. MALARSTWIE

Wysmukła postać pośród pląsających wiotkich dziewcząt-boginek, pod gałęziami kwitnących drzew, w przejrzystym, lśniącym powietrzu, „Primavera”. Wiosna w sztuce.

Któż jej nie zna, któż nie pamięta charakterystycznego przechylenia postaci i łagodnego łuku rąk? Jest radosna i nieśmiała, pełna świeżego, naiwnego entuzjazmu, ale jeszcze troszkę nieskoordynowana, jakby wstydliva i niepewna. Jest młodziutka. Maj, a może nawet kwiecień malarstwa. Wiosna jest dziewczyną. Wiosna jest zantropomorfizowana.

W tych szczęśliwych, sielankowych dniach malarstwa wszystko zaczyna się i kończy na człowieku. Pośrodku świata stoi niewzruszenie ziemia, pośrodku ziemi — najwyższy z kręgowców: istota, posiadająca boski dar rozumu i mowy. To, co się dzieje dookoła, dzieje się gwoli radości jego oczu, ku ucieście jego serca. Jeżeli artysta chce wyobrazić doskona-

łość absolutną natury, jej kwintesencję niejako i moment szczytowy—stawia ją również na przecięciu linii doskonałego człowieczeństwa i kręgu boskości. U Fra Angelika, na przykład, jak wogóle u wielu quattrocentystów, apologjum wiosny skupia się w raju, na owych niezmiernie ziemskich, jakkolwiek wyidealizowanych łąkach, wśród barwnych kwiatów i zielonych traw. Korowód świętych i aniołów, w powłóczystych szatach wijący się wśród falujących kwiecistych pagórków, zda się oddychać samą świeżością, świecić samym czystym blaskiem słonecznym. Wiosna — doskonałość natury — staje się atrybutem miejsca wieczystej szczęśliwości... Jakże znaleźć prawdziwsze, bardziej bezpośrednie wyznaczenie wiary w człowieka i rzeczywistość otaczającą, miłości do ziemi i jej płodów, niż to naiwne przeniesienie ich w sferę pozaziemską, nieosiągalną?

Przychodzi Kopernik; ziemia zostaje poruszona z posad, by stać się



Lancret: „Wieczór wiosenny“.



tylko jedną z wielu służebnic systemu planetarnego. Ale człowiek nie uznaje się zdegradowanym, wzbija się wyżej, w odmęcie wirujących światów wierzy jeszcze w siebie, jako w jedyne źródło doznania, czuje się wciąż jeszcze jedynym odbiorcą i szafarzem. W sztuce renesansowej zjawiska natury dzieją się wciąż jeszcze o tyle, o ile świadkiem ich jest człowiek. Pejzaż roztacza się tylko dla jego oczu, pod jego stopami. Ptaki śpiewają wokół świętych, albo wokół pogańskich bożków, w klasycznych reminiscencjach antyku. Refleksy słoneczne, nieśmiało jeszcze i ostrożnie załamywane w mgłach — pierwszych mgłach, owych zwiastunach baroku — poto są, by tem pełniej i dobitniej wyłaniała się dominanta: mocna, zwięzła postać człowiecza. Wiosna w renesansie — to ludzie, upojeni świadomością swojej młodości i siły.

Zaiste, daleka droga wiedzie od Botticelli'ego do



J. B. Corot: „Sielanka“.



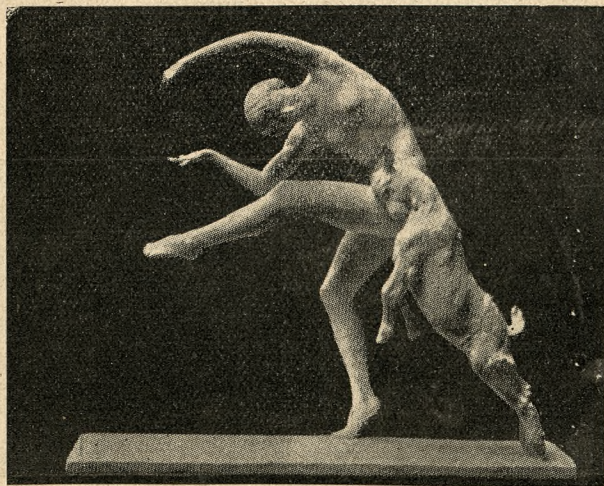
Józef Mehoffer: „Majowe słońce“.

Moneta. Od owych niewiast, symbolizujących samoistność natury, do tej natury, wyzwolonej z pod wszelkiej kurateli człowieka, okrutnie obojętnej i samowystarczalnej. Rozpływające się w blasku słonecznym, samotne płaszczyzny impresjonistycznego krajobrazu oznaczają coś więcej, aniżeli zmianę wewnętrznego malarskiego stosunku do obrazu: oznaczają głębokie przestawienie wartości, są miarą wzrostu rozumienia człowieka — i zarazem miarą jego rezygnacji.

Albowiem wiek XIX, wiek relatywizmu, wiek t. zw. „pozytywizmu“ — to wiek rezygnacji. Poraz drugi poruszono wszechświatem. Odtąd już nie ziemia tylko staje się jedną z milionów planet — lecz człowiek jednym z miliona atrybutów natury. Natura staje ponad nami, milcząca, obca, dostępna tylko poprzez swą najbardziej zewnętrzną powłokę, poprzez swą zmienną barwę i równie zmienny kształt — w treści swej nieosiągalna.

Gdy patrzymy na owe wiosenne krajobrazy impresjonizmu i postimpresjonizmu francuskiego oraz pochodnych kierunków malarskich w innych krajach Europy — rozumiemy całą nieświadomą tęsknotę człowieka do zacementowania się o jakiś punkt stały i przyjazny w odmęcie niezrozumiałego, nieuchwytnego świata. Cóż z tego, że obraz nasycony jest blaskiem, że słońce, rozszczerzone na tysiąc promieni, przenika każdy centymetr płótna, że kolorowy, wiosenny świat śmieje się z małego wycinka?... To nie jest świat, w którym mamy nasze określone, nasze stałe i pewne miejsce. Możliwe niemal rzec, że w tym kraju impresjonistycznych i postimpresjonistycznych pejzaży jesteśmy cudzoziemcami bez przynależności państwowej. Patrzymy na Signaca, na Sisleya, na Renoira...

Aż odnajdujemy się przecież. W czerwieni zachodu płoną cyprysy Van Gogha. Jest jakaś więź, która pozwala nam, na palcach, nieśmiało i trwożnie, zbliżyć się do straszliwej natury. Poznajemy jej tajemnicę, która jest również naszą tajemnicą; cierpienie. Poprzez wyraz, poprzez ekspresję nawiązujemy nanowo braterstwo z potężnym słońcem, z nieprzebraną wodą, z czarem, z niepojętym wdziękiem kwiatu. Migotliwy blask, igrający na powierzchni rzeczy, kryje przecież treść, którą udaje się nam pochwycić. Jeżeli dalecy jesteśmy od piękna, od niezrozumiałego celowego funkcjonalizmu natury, to mamy prawo do jej bolesnej brzydoty, do wszystkiego, co jest w niej



Morlon: „Młodość“.

niekonsekwentne i niesprawiedliwe, do tego, co jest w niej tragiczne. Nasza wiosna malarska już nie jest tak świeża, jak wiosna Botticelli'ego, jakkolwiek jest od tamtej niewątpliwie bardziej kolorystycznie zróżnicowana. Nauczylismy się od tego czasu, że „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie” — i zresztą wielu jeszcze innych rzeczy.

W malarstwie polskim ten kontakt z przyrodą miał zawsze bardzo swoiste zabarwienie. Nawet w okresie impresjonizmu nie było u nas tej obcości, jaka cechowała — przy pozornym zbliżeniu — malarstwo zagraniczne.

Za bardzo, za gwałtownie potrzebowaliśmy tej jednej jedynej ostoi, jaka nam pozostała pośród chaosu wydarzeń: pomocy otaczającej natury. Kraj-



Szczygliński: „Krajobraz wiosenny“.

obraz polski — milczący świadek i teren ubiegłego stulecia oddychać ią treścią, która przelanie krwi zdeterminowała. Stąd ów mniej malarski, a bardziej uczuciowy stosunek do pejzażu w malarstwie polskim, do przedwiosennych roztopów, i do majowych wieczorów. Do przylatujących bocianów, do plugów, poruszających świeżą, czarną ziemię; do dróg lśniących od kałuż deszczowych — polskich dróg i bezdroży. Bo wiosna w malarstwie polskim nie jest nigdy południową, prawie gorącą wiosną raj-

ską, pełnią doskonałości Fra Angelika: jest zawsze za-  
prawną lekkim chłodem, goryczą wiatrów i sloty,  
dżdżystą, ale pachnącą fiołkami — wiosną północną. l. j.

EUGENJUSZ ŻYTOMIRSKI.

## WIŚNIE W MIASTECZKU

*W maleńkiem mieście, w mieście sennem.  
Strzępiastą bielą kroitną rośnie  
I na rozgrzane ślą kamienie  
Wonnego śniegu chłodny prysznic.*

*W maleńkiem mieście, w sennem mieście  
Nie może przecież nic się zmienić —  
To tylko dziś niebieska przestrzeń  
Majorem słońcem się rumieni.*

*Napróżno pragnę z kimś się spotkać,  
Na czyjeś darmo czekam przyjście —  
Stopnieją w ustach kulki słodkie,  
Jesienią w sercu jękną liście...*

*Znów — w mieście sennem, w mieście małym  
Zatęsknię do wiosennych rozruszeń —  
Kiedy gałęzi czerń zbutwiała  
Puszystą bielą śnieg przyprószy.*



Zofja Stryjeńska: „Wiosna“.

## O P R A W A D Z I E C I

Cała Polska powinna uśmiechać się do swoich dzieci. I wszystkie dzieci polskie powinny się uśmiechać.

Takie hasło wydał polski komitet opieki nad dzieckiem przed „Tygodniem Dziecka“.

Jedną z najpiękniejszych zasad, taka, do której spełnienia wszyscy, z całego serca dopomagać powinniśmy, to danie każdemu dziecku możliwości cieszenia się życiem.

Każdy patrzy z radością na zieleń odnowy wiosennej, na beztrudny wdzięk młodego zwierzątka; a wdzięk i urok dziecka? Kto może spokojnie pomyśleć o dziecku smutnym? Przecie jeden, jedyny raz przeżywa ono ten okres, tych kilka lat, które z istoty swej są tylko radością, a które życie tak często zaciemnia.

I robi to w dodatku w sposób bardzo ciężki, bo musimy pamiętać o tem, o czem tak często zapominamy i co zbyt lekko traktujemy, że każdy smutek i niedola ciężkie są dla ludzi dorosłych, ale podwójnym ciężarem przygniatają dziecko.

Człowiek dorosły rozumie swoje położenie, orientuje się w środkach zaradczych, żywi różne nadzieje, ma siłę wyrobioną do zniesienia i odparcia życiowych ciosów. Dziecko patrzy zdumionymi oczyma w niezrozumiały świat i ma tylko swój brak sił i niemożność rady.

To też w zdrowym, normalnym społeczeństwie współczesnym:

1. Każde dziecko powinno mieć zabezpieczony normalny rozwój fizyczny i duchowy.
2. Dziecko głodne winno być nakarmione.
3. Dziecko chore — pielęgnowane.
4. Dziecko wykolejone — zwrócone na właściwą drogę.
5. Dziecko upośledzone — otoczone opieką.
6. Dziecko-sierota i opuszczone — przygarnięte i wspomagane.
7. Dziecko przed innymi winno otrzymać pomoc w czasie klęski.
8. Każde dziecko winno być przygotowane do zarobkowania na życie.
9. Dziecko winno być zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem.
10. Dziecko winno być wychowane w przekonaniu, że obowiązkiem jego jest najlepsze swe cechy oddać na usługi współbraci.

Taką deklarację praw dziecka wydaje Polski Komitet i taka powinna być święcie dotrzymana dla przyszości narodu. Tydzień dziecka urządzany jest w Polsce od lat kilku. Odbywają się w tym czasie wycieczki szkolne, zabawy, różne uroczystości; oddziały Komitetu i różne organizacje urządzają zbiórki, na ulicach miast i miasteczek przeciągają korowody malców z chorągiewkami, solenizantów swego tygodnia. A potem, niekiedy, gdy Komitety ogłoszą skrupulatnie swe sprawozdania cyfrowe, słyszy się tu i owdzie głosy pobłażliwego niezadowolenia: tylko tyle zebrano? tak nieznaczne sumy do czegoż mogą się przydać Komitetowi? Czy warto było robić tyle zachodu!

Czy ci niezadowoleni nie zastanowili się nigdy nad jedną rzeczą: że zapewne, byłoby bardzo pożą-

dane, aby do kas Komitetu Opieki nad dzieckiem wpływały wielkie sumy, ale że w Tygodniu dziecka nie o te sumy chodzi? Zwrócenie uwagi całego społeczeństwa na sprawy dziecka, danie każdemu sposobności zobaczenia dzieci, wyprowadzonych na ulicę, zgromadzonych, radosnych, danie dzieciom samym ich święta, to cel najważniejszy, o to chodzi.

Nie to jest ważne, czy w Siedlcach, Gdyni, lub Stanisławowie zebrano tysiąc, czy więcej złotych, ale to, czy w Siedlcach, Gdyni lub Stanisławowie setki dzieci miały chwile uciechy i czy dorośli obywatele tych miast myśleli w tych dniach o dziecku i jego sprawach.

Spraw tych jest wiele, i prostych i bardzo złożonych. I takich, nad którymi pracuje Komisja Opieki w Lidze Narodów, i tych, które każdy, u siebie, w swoim mieście, czy miasteczku, w swojej szkole, w swoim domu rozstrzygać może i powinien. Spraw dzieci biednych, których głównym złem jest nędza materialna, i spraw dzieci innych, których nieszczęściem są warunki moralne.

„Świat się nie rozszerzył, ale zyskał na głębi“.  
Sprawy dziecka także.

Dawniej było to proste zagadnienie: nakarmić, odziać (dla większości ludzi było to bardzo łatwe) i niech sobie zdrowo rosną, w karności chowane.

Dziś przewartościować trzeba wszystko: higienę pokarmu i odzieży, i ową karność, i stosunek do psychiki dziecka. I, co najważniejsze, nie tylko o właściwych myśleć, ale i o tych, zdrowych i normalnych, zarówno jak chorych i wykolejonych, których nikt opieka nie otacza, choć do tej opieki mają prawo.

Ciągle przypominanie o tem, najważniejszym z zadań społecznych, ciągle zwracanie uwagi na położenie setek i tysięcy dzieci, potrzebujących pomocy i zapewnienia im możliwych warunków rozwoju, jest linią wytyczną prac Polskiego Komitetu Opieki nad dzieckiem. Tydzień dziecka jest jednym z wybitnych momentów szerokiej propagandy moralnej, punktem agitacyjnym. Rezultaty jego każdoroczne mierzyć powinniśmy oddźwiękiem nietyle materialnym, ile moralnym.

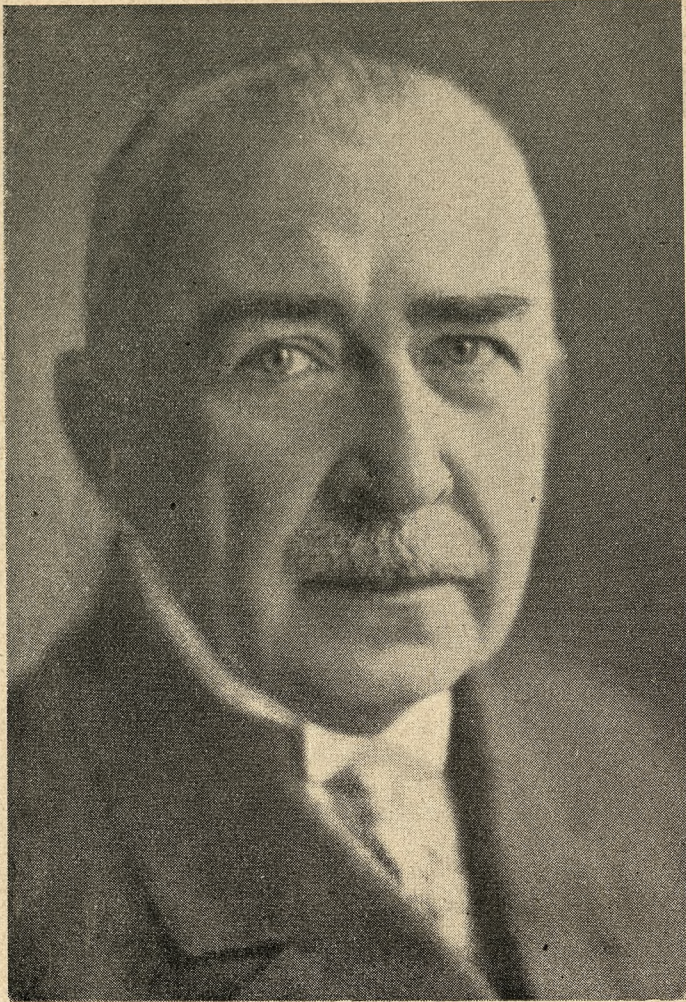
Dać, owszem, jaknajwięcej, ile możemy, ale i zrozumieć, przemyśleć cele i zadania tej pracy. Polski Komitet Opieki ogarnia jej całokształt, sięga do różnorodnych dziedzin. Z bogatego kompletu propagandy prasowej Tygodnia widzimy, że uwzględniono wielki kompleks spraw: postulatów wychowawczych, łącznie z kulturą i psychiką samych wychowawców i rodziców; zagadnienie opieki nad dziećmi-kalekami i anormalnymi, opieki, pojętej w formie najbardziej racjonalnej, zgodnej ze wskazaniem wiedzy nowoczesnej; i higienę, i leczenie, i zapobieganie chorobom, i odrębne warunki dziecka miasta i dziecka wsi, i różnorodny sposób podejścia do różnych klas społecznych. Afisze, ulotki, broszurki Komitetu przemawiają w sposób dobitny, prosty i przekonujący; wskazując braki i niedole dziecięce, wykazują zarazem sposób zaradzenia im, zarówno rodzicom, jak i wszystkim, którzy pracy tej podjąć by się chcieli.

O tem pamiętać powinni zawsze, a specjalnie w czasie trwania Tygodnia dziecka, dorośli.

Dzieci będą w tym czasie, jak Polska długa i szeroka, bawiły się i cieszyły.

N. J.

## Ś. P. ZDZISŁAW DĘBICKI



W d. 7 maja r. b. w wieku lat 60 zmarł ś. p. Zdzisław Dębicki, utalentowany poeta, zasłużony publicysta i krytyk literacki, długoletni redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”, prezes Syndykatu Dziennikarzy, za swoją owocną działalność społeczną i propagandową odznaczony krzyżem oficerskim orderu „Polonia restituta” i licznymi orderami zagranicznymi, ostatnio laureat Nagrody Literackiej m. Warszawy.

Zarówno w swoich poezjach, jak w artykułach publicystycznych, w krytykach literackich, wreszcie w obszerniejszych pracach, poświęconych zagadnieniom kultury narodowej („Podstawy kultury narodowej”, „Narodziny ideału”, „Kryzys inteligencji polskiej”), dawał wyraz wzniosłym ideałom etycznym, podporządkowującym indywidualizm zbiorowości w imię dobra powszechnego.

Zawód krytyka traktował, jak powołanie, jako posterunek, kontrolujący rozwój twórczości rodzimej nie pod kątem przemijających hasel i teorii estetycznych, ale niejako „sub speciae aeternitatis”, zbrojny w powagę tradycji i w troskę o przyszłość narodu.

Prawość charakteru, niezłomny pion zasad moralnych, wysokie poczucie odpowiedzialności wobec autorów, dzieł i czytającej publiczności — oto zasadnicze cechy ś. p. Zdzisława Dębickiego, jako człowieka i jako pisarza. Całe swe życie strawił w służbie ideału, w pracy nad odrodzeniem kultury polskiej, w serdecznym budzeniu zainteresowania ogółu twórczością literacką i czytelnictwem.

Cześć Jego pamięci!

S. P. O.

## Z ODCZYTÓW

Dr. Nakaszidze: „Kobieta gruzińska”.

Dnia 28.IV r. b. w Sali Rady Miejskiej odbył się odczyt, poświęcony „Kobiecie Gruzji”.

W ciekawych i niezmiernie charakterystycznych epizodach prelegent odmalował dzieje rozwoju historycznego i politycznego Gruzji, posługując się tem tłem dla najplastyczniejszego nakreślenia typu Gruzinki.

Gruzja od IV-go wieku przyjęła chrześcijaństwo, stając się jego przedmurzem na Wschodzie. Piękność i bogactwo kraju przyczyniały się do zaostrzenia apetytów mocarzy ościennych, którzy niejednokrotnie usiłowali zawładnąć Gruzją. Stawała się też ona nieustannym terenem ciągłych walk, co przyczyniało się do zaprawiania ludu gruzińskiego do bohaterskich wyczynów.

W tych warunkach kształtował się charakter i urastał duch kobiety gruzińskiej.

Kobieta gruzińska do dziś dnia nie odczuła potrzeby podjęcia walki o równouprawnienie, nie stworzyła żadnej odrębnej organizacji kobiecej, ponieważ życie nie wysunęło dla niej tych konieczności. Kobieta w Gruzji od wieków cieszy się stanowiskiem uprzywilejowanym. Jeśli kto, to raczej mężczyzna powinienby wyciągnąć tam rękę po równe prawa. Lecz mężczyźni w Gruzji przełożyli kult rycerskości i uwielbienia, którymi otaczają kobietę gruzińską z całą dobrą wolą, nie rozumiejąc nawet innego ustosunkowania się do niej.

Gruzinka umie sprostać i odpowiedzieć włożym na nią obowiązkom. Jest wykształcona, mądra, szlachetna i bohaterska. Dzieli z radością i poświęceniem życie swego narodu. Dźwiga nieustraszenie fundamenty odrodzenia politycznego i narodowego Gruzji, w czem chyba najbliższymi jej sercem i duszą będą kobiety polskie, które epokę krwawych zmagają mają już. Bogu dzięki, poza sobą — lecz tem goręcej potrafią odczuć niedolę ciemniejszej i bohaterskiej Gruzji.

M. A.

## Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Król teatru” — komedja w 3 aktach (4 odsłonach) G. S. Kaufmana. Przekład Zdzisława Kleszczyńskiego. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Stanisława Słimińskiego.

„Nowi Panowie” — komedja w 4-ach aktach R. de Flersa i P. Caillabeta. Przekład Bolesława Górczyńskiego. Reżyserja Jerzego Leszczyńskiego.

Utartym, ale ciągle jeszcze dzikim zwyczajem teatrów warszawskich, mieliśmy w jednym tygodniu cztery premjery. Żeby potem przez cztery tygodnie nie mieć ani jednej. Niewiedomo, komu się tak bardzo śpieszy, żeby pobić rekord głupoty. Ale co temu jest winien recenzent teatralny? Biedaczysko wleśka się w swój fotel na widowni i wzdycha: „No, może dziś narzeczcie zobaczyć coś nowego!”. A po trzech godzinach wychodzi i, wstydząc się własnej ignorancji, pyta:

— Dla kogo właściwie to jest napisane? Czy dla małoletnich emerytów, czy dla emerytowanych bubków? Dla pięćdziesięcioletnich podlotków, czy dla patentowanych kretynów? I dlaczego dwóch dobrych komedjopisarzy polskich (Górczyński i Kleszczyński) tłumaczy podławe sztuczki, a trzeci (Kaweccki) bawi się w ekwilibrystykę teatralną, zamiast wziąć się na serio do roboty i napisać dla sceny coś, coby było godne choćby... ich własnej przeszłości.

Skąd ten zanik ambicji twórczych u przedstawicieli naszego Związku Autorów Dramatycznych?

Możnaby powiedzieć, że te wszystkie „Dobre wróżki”, „Drogi do piekieł” i „Królowie teatru” — to charakterystyczne symptomy kryzysu teatralnego. Tonący brzytwy się chwyta,



Teatr Polski: „Król teatru”. Wesołowski, Lubińska i Lapiński.

ale czy dlatego właśnie należy naszą pływającą teatralną za-  
pełniać bezwartościowym szmelcem? To tak, jakgdyby ktoś  
młyńskie koło przywiązał do szyi tonącego. Pójdzie na dno, ani  
chybi. Amerykanizacja teatru! To też jeden z tych niezawod-  
nych leków znachorstwa scenicznego. Powodzenie „Broadwayu”,  
„Artystów” i „Ulicy” od czasu do czasu uderza naszym dyrek-  
cją do głowy. Pół królestwa za amerykańską sztukę! To robi  
kasę. — Powoli, powoli, poławiacze amerykańskich pereł! nie  
tak łatwo dziś wmówić publiczności, że jarmarczne paciorki —  
to kryształy z Murano. Prawda, że i „Artyści”, i „Broadway”,  
i „Ulica” — to melodramaty, ale jest w nich coś, co przykuwa  
widza od pierwszej do ostatniej sceny — jest obnażenie żywe-  
go serca ludzkiego i jeżeli nawet brak tam głębi psychologicz-  
nej, to przynajmniej ocalono jej pozory.

W „Królu teatru” chodzi zupełnie o co innego. Już nie  
serce ludzkie, ale business, zwykły teatralny business jest osi-  
ą akcji. To nic nie szkodzi. Dolar może być doskonałym startem  
w wyścigu trick'ów życiowych i teatralnych. Byle utrzymać

właściwe napięcie hazardu. Byle widzowi tak samo ścisłało się  
serce niepokojem i nadzieją, jak tym na scenie.

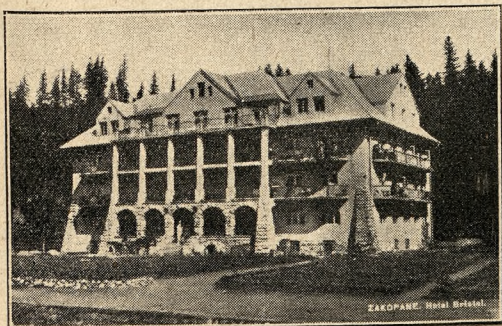
Ale na to nieprzytomne tempo nie starczyło „Królowi tea-  
tru” ani płuc, ani temperamentu. Jest to typowa sztuka o po-  
wolnym oddechu. Pierwszy akt zrobiono chyba po to, żeby nam  
przez pół godziny demonstrować dwie pary nowiusieńkich mę-  
skich podeszew. Nie ludzie, ale żółwie pelzają po scenie, cho-  
ciaż aktorki wiją się, jak potępieńcy. Wszystko napróżno. To  
nie teatr — to terrarium, zaludnione zimnokrwistymi płazami.

Przez dwa pierwsze akty jesteśmy świadkami rekordu  
nudy i banału. Widz rozpaczliwie szuka na scenie choć cienia  
czegoś, co nie byłoby starym, rozsypującym się gratem, wycią-  
gniętym na chybił trafił z rupieciarni teatralnej. Napróżno! do-  
piero w trzecim akcie, na finishu, akcja pędzi na złamanie  
karku. Za wszelką cenę trzeba zdobyć happy end, pokazać,  
jak nabrany głuptas z kolei nabiera swoich nabieraczy. Zdu-  
miewające jest przedewszystkiem to, że nikt w tej cudownej hi-  
storji nie jest naprawdę oszukany i wszyscy robią upragniony  
business. Aktorki mieli role niewdzięczne i puste: beczki bez dna,  
w które wlewali bohaterstwo swoją własną pomysłowość. Prym  
trzymał tym razem Wesołowski, nieporównany, jako szlachet-  
ny tuman. Lubińska trochę za serjo wzięła postać Jane Weston.  
Szkoda, żeby ta młoda, obiecująca artystka ekspensowała się  
nadmiernie na takie „drobne wydatki”. Nie trzeba wygrywać się  
bez reszty w rolach bez znaczenia. Pozostali artyści operowali  
niezawodnym szablonem. Przekład Kleszczyńskiego dobry. Ale  
czy nie lepiej byłoby, drogi Sęku, żebyś, zamiast tłumaczyć to  
amerykańskie nudziarstwo, machnął od ręki krotochwilę o pol-  
skim businessie?

Napewno byłaby dowcipniejsza od tego karawaniarskie-  
go tańca standaryzowanych manekinów. S. P. O.

Dobra komedia jest, jak uroczą kobietą. Nie widzimy  
nieregularności jej rysów, ani błędów budowy. Wybaczamy na-  
wet jej wiek... O powodzeniu jednej i drugiej decyduje przede-  
wszystkiem wdzięk. Poraz trzeci wznowiona komedia „Nowi  
Panowie” nie straciła nic na pierwotnym wdzięku, ani na ży-  
wotności. Ciągłe jeszcze aktualnymi są postacie podstarzałych  
arystokratów, którzy z naiwnych szwaczuszek robią aktoreczki  
bez talentu, a z aktoreczek wychowują sobie... wierne żony. Ży-  
wymi są ciągle arystokratyczne upodobania woźnych ministe-  
rjalnych i stoicka demokratyzacja hrabiów. Nie stępiło się  
ostrze dowcipów politycznych. „Chciałbym się przenieść na ja-  
kąś spokojną posadę, np. do ministerjum pracy. Tam się prze-  
cież nie nie robi”. — Albo: „Szukam miejsca, gdziebym dowoli  
mógł być smutnym, gdzieby nikt nie przeszkadzał mojemu  
smutkowi. Zdaje mi się, że je znalazłem. To Liga Narodów”.

Finezje dialogu z dyskretnym humorem podkreślane by-  
ły przez świetnych wykonawców. Malicka dużo zyskała na  
świadomej ekspresji w uwydatnieniu cech charakterystycznych  
bez uszczuplenia niewyczerpanych zasobów wstydlivego, niena-  
ruczającego się wdzięku. Leszczyński trafnie ujął sylwetkę „no-  
wego pana”, świeżego w kulturze, a tryskającego zdrowiem fi-  
zycznym i moralnym. Stanisławski był stylowym „starszym  
panem”. S. P. O.



**ZAKOPANE**

Perła uzdrowisk  
polskich—daje emo-  
cjonujące widoki  
Tatr, teźnyżnę ducha i ciała, spokój, wypoczynek  
i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

**BRISTOL**

Najtańszy luksuso-  
wy reprezentacyjny  
hotel - pensjonat w  
Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w  
sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę.  
700  
W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30 — 50%. Tel. 315.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



*P. Lucyna Doelberg.*

### DALEKA A BLISKA.

Znana jest ogólnie odwaga i zamilowanie pań angielskich do podróży po dalekich, egzotycznych krajach. Żony urzędników i oficerów, delegowanych do kolonii, towarzyszą zwykle mężom, dzieląc z nimi wszystkie trudy i niebezpieczeństwa.

Z prawdziwą przyjemnością możemy stwierdzić, że nasze polki nie są mniej dzielne, choć nie mają poza sobą długoletniej, przeszłej już w atawizm, kultury dalekich wypraw.

Jedną z takich jest p. Lucyna Athelstane Doelberg (wywiad z nią, charakteryzujący życie kobiet z plemion murzyńskich, był w swoim czasie umieszczony w „Bluszczu”). Żona wysokiego oficera angielskiego, zarządcy okręgu w Nigerji angielskiej, pani Doelberg jest jedyną polką w tym kraju.

Ta młoda, mała kobietka stanowi ciekawy typ dzielności i entuzjastycznej ekspansji życiowej. Przebywając w kraju o zabójczym klimacie, narażona na setki różnych niebezpieczeństw, urządza tam sobie życie, jak cudowne wakacje. Ma czas na wszystko: gospodarstwo (z kuchnią polską włącznie!), sporty, polowania na dzikiego zwierza... to drobna część programu. Prócz tego pani Doelberg towarzyszy mężowi w objazdach urzędowych, spędzając długie tygodnie na koniu, lub w barce na Nigrze, wzywa się w dół i obyczaje krajowców; nauczyła się ich języka i pracuje z przyjaciółmi, misjonarzami.

Nie zapomina przytem o Polsce, przeciwnie, z żywiołowym a solidnym patriotyzmem zaznacza wszędzie swoją narodowość, odwiedza Polskę podczas każdego urlopu i, jak ptak do swego gniazda, zwozi ciekawości krajin egzotycznych. Przybywając obecnie do Warszawy, p. Doelberg przywiozła zbiór broni dzikich krajowców Afryki zachodniej, oryginalnych wyrobów miejscowych, skórę olbrzymiego Pytona i t. p.; ofiarowała to wszystko Muzeum Narodowemu, wraz z obietnicą stałego uzupełniania tych darów, które utworzą z czasem oddzielną salę zbiorów afrykańskich.

### ZŁOTO W JEDWABIU.

Rozpoczęta na malutką skalę, jako czysto prywatna inicjatywa, stacja doświadczalna hodowli jedwabników w Milanówku, rozwinęła się już, dzięki niezmordowanej energii i pracy jej kierowników, w poważną instytucję. Działalność stacji

idzie stale w dwóch kierunkach: szkolenia i produkcji. W zakresie tej ostatniej mamy już śliczne materiały, różnorodnych barw i deseni, nie ustępujące zagranicznym, zasługujące na jak-najszerze rozpowszechnienie. Obok tego stacja organizuje stale różne typy kursów jedwabnictwa.

W ciągu czerwca r. b. urządzony będzie kurs teoretyczno-praktyczny dla instruktorów instytucji społecznych, samorządowych, rolniczych, oraz dla osób, pragnących prowadzić hodowlę jedwabników. Opłata za kurs wynosi tylko 50 zł., przy tem słuchacze mają 50 procent zniżki kolejowej w drodze powrotnej. W lipcu odbędzie się podobny kurs specjalnie dla nauczycieli.

Nie można nigdy dosyć zalecać nauczania się jedwabnictwa wszystkim, którzy mają jakąkolwiek możliwość prowadzenia tej hodowli. Jest to z jednej strony przystępny środek podniesienia budżetu domowego dla całego szeregu kobiet, właścielek małych gospodarstw, ogrodów w miastach i miasteczkach i t. p., z drugiej podniesienie krajowego przemysłu jedwabniczego, który ma u nas wszelkie warunki dużego rozwoju. W konie jedwabnika jest złoto; kobieta, jak nowoczesny alchemik, może je wydobyć.

### WIELKI ZJAZD KOBIECY W WARSZAWIE.

W końcu maja odbędzie się poraz pierwszy w Polsce zebranie Zarządów Międzynarodowej Unji Katolickich Związków Kobięcych, organizacji, liczącej 27 milionów członkiń we wszystkich krajach katolickich. Przybywa do Warszawy generalna przewodnicząca Unji, holenderka, p. Steenberghe-Engeringh, członkini generalnego zarządu, zarząd Unji Młodych z przewodniczącą, p. Krystyną de Hemptinne oraz liczne delegatki krajowych organizacji Ameryki, Anglii, Austrii, Francji, Niemiec i Włoch, a także przewodnicząca Stow. Młodzieży żeńskiej z Meksyku.

Przedmiotem obrad w naszej stolicy będzie przygotowanie wielkiego Kongresu Unji, poświęconego sprawie wychowania. Obok obrad zarządu, odbędzie się publiczne posiedzenie, poświęcone międzynarodowemu ruchowi kobiecemu.

### JESZCZE JEDNA.

Najświeższą sensacją w zakresie rekordów lotniczych kobiecych jest ukończony świeżo lot Elli Beinhorn naokoło Afryki. Dzielna pilotka odbyła sama kilkunastodniową podróż na awjonetce. W chwili przybycia na lotnisko w Tempelhofie, panna Beinhorn została entuzjastycznie przyjęta przez tłumy publiczności, która formalnie zasypała ją kwiatami.



*Elli Beinhorn.*

## DLA INŻYNIEREK I ARCHITEKTEK.

Aby ułatwić maturzystkom i maturzystom egzamina konkursowe przy wstąpieniu na Politechnikę Warszawską, Towarzystwo Bratniej Pomocy Stud. Politechniki Warszawskiej urządzi, wzorem lat poprzednich, Kurs Przygotowawczy do egzaminów konkursowych. Początek wykładów w połowie sierpnia r. b. Kurs trwać będzie około miesiąca. Na kursie wykładac będą inżynierowie, asystenci i dyplomanci Politechniki Warszawskiej. Program kursu obejmować będzie całkowity zakres wymagań, stawianych przy egzaminach konkursowych na poszczególne wydziały, dla których potworzone będą oddzielne grupy. Wykłady będą się odbywały codziennie, przyczem główny nacisk będzie położony nie na wiadomości teoretyczne, lecz na technikę rozwiązywania zadań. Zapisy i informacje w Sekretariacie Kursu (Koszykowa 80).

## NIEUSTRASZONA PODRÓŻNICZKA.

W przepelnionej sali Tow. Higjenicznego odbył się odczyt znakomitej geografki i podróżniczki polskiej, p. Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej, która mówiła o swej niesłychanie śmiałej, pełnej przygód i niebezpieczeństw wyprawie na Pamiry. Mieszkając stale we Włoszech, gdzie wyszła za mąż, p. Mrozowska zorganizowała tam wyprawę naukową do Azji Centralnej i wzięła sama udział w podróży na ziejący grozą i tajemnicą „dach świata”. Barwny opis tej ekspedycji stanowił temat odczytu, który śmiała podróżniczka wygłosiła dla naszej stolicy. Dziękowano jej też z wyjątkowym, lecz zasłużonym zapalem, witając gorącymi przemówieniami i kwiatami.

## GWIAZDA NA PACYFIKU.

Wszystkie prawie wybitne artystki, znane w różnych dziedzinach sztuki, uprawiają z zamiłowaniem sporty. Znakomita amerykańska gwiazda filmowa, Norma Shearer, jest tak zapałą żeglarką, że wypływa sama w swojej żaglówece na Ocean Spokojny.



Norma Shearer w swej łodzi.

## KOBIETY W KOŚCIELE.

Od dłuższego już czasu kobiety w Anglii i Niemczech starają się o dopuszczenie ich do funkcji kościelnych. W Anglii zawiązało się nawet specjalne stowarzyszenie: „Women in the Ministry”, do którego należy wielu wybitnych duchownych anglikańskich, stronników równouprawnienia w tej dziedzinie. Dotychczas kobietom najczęściej powierzane są czynności pomocnicze, kazania, wykłady w szkołach, czyli katechizacja (tę ostatnią oddawna prowadzą kobiety w szkołach katolickich). Istnieje jednak i pastorki, świeżo np. mianowano p. Edytę Pickles pastorem w Arundel (w hrabstwie Sussex). W Niemczech i w Szwajcarii znajdują się już kobiety na stanowiskach pastarów protestanckich. Niedawno zaś Niemki-katolicki rozpoczęły żywą agitację za dopuszczeniem do kapłaństwa.

## AMERYKANKI ZNAJĄ EMILJĘ PLATER.

Wielki tygodnik kobiecy amerykański „Equal Rights”, organ oficjalny jednej z największych kobiecych organizacyj Stanów zjednoczonych, Narodowej partji kobiet, poświęcił dłuższą wzmiankę bohaterce polskiej, Emilji Plater, charakteryzując jej postać i udział w rewolucji listopadowej.

## Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Dnie obecne są w polityce momentem oczekiwania. Nie znaczy to, aby nie ważnego się nie działo, ale wszystkie sesje parlamentów jawne i wszystkie narady polityków tajne obracają się naokoło zagadnienia: co przyniesie sesja genewska.

Coprawda dziwić się trochę można temu napięciu. Od pewnego już czasu utarła się opinia, że Lidze Narodów oddaje się wiele platonicznego szacunku i uznania, ale mniej wierzy się w jej realną egzekutywę. Okazuje się jednak, że tak nie jest. A może też sprawa ta ma poprostu dwa oblicza: jedno, to dyplomatyczne uznanie oficjalne, drugie fakt, że spotkanie poważnych polityków i przedstawicieli rządów państw ma zawsze rezultaty realne i dobitne, choć nie zawsze pokrywające się całkowicie z urzędowymi rezultatami posiedzeń dostojnej Assemblée.

Tak też i prawdopodobnie będzie. Na pierwszym miejscu obrad postawiono decyzje w sprawie przyszłorocznego Kongresu rozbrojeniowego i Anshlusu, dalej sprawy porozumienia gospodarczego. To są, poza serją pomniejszych, punkty obrad najważniejsze. Przyszłoroczny kongres rozbrojeniowy albo się uda, albo zrobi fiasco! Nie jest to bynajmniej frazes w rodzaju: jeśli nie będzie pogody, to będzie deszcz! Nie. O ile mężowie, kierujący polityką wielkich państw morskich, zdecydowali się nie puszczać „na morze” miliardów, pod postacią pancerników, o ile wogóle przekonają się, że można i na lądzie nie stać ciągle „z bronią u nogi”, znowu kładąc w to ciężkie miliardy, to kongres rozbrojeniowy będzie miał realne rezultaty, o toż to, „o ile” zdecyduje się właściwie w tym miesiącu w Genewie. No, a „o ile” uda się kongres, o tyle będzie, lub nie będzie trwałego pokoju. Mniej więcej to samo jest ze sprawą Anshlusu. Jeśli wszystkie państwa europejskie potrafią zawrzeć sojusz gospodarczy, będzie to największym zapewnieniem pokojowej współpracy, natomiast unja gospodarcza, no i inna Austrii i Niemiec wyłącznie jest tylko zawiązkiem nowej agresji germańskiej w stosunku do reszty Europy.

Porozumienie gospodarcze jest istotnie najżywotniejszą sprawą, ale jak je przeprowadzić w chwili najzaciętszego rozwoju różnych dumpingów, zalewu Europy przez zboża z Australji i Ameryki, coraz więcej wzmagającej się nietylko w Anglii, ale wszędzie opinji przeciwko wolnej wymianie handlowej? Jest to taki kompleks spraw i interesów biegunowo sobie przeciwnych, że trzeba nielada genjuszu, aby je rozwiązał.

Genjuszem tym, trzymającym w ręku wiele nici porozumienia i obdarzonym jednak wielkim w tym zakresie autorytetem, jest Briand, który właśnie w czasie sesji Rady Ligi w Genewie może zostać wybrany prezydentem Republiki francuskiej. Entuzjaści pacyfizmu pokładają w nim wielkie nadzieje.

Ano, zobaczymy, jak się uda!

## NASZA MÓWNIKA

### O Korporacje (w odpowiedzi p. Basi Korewa)

Świątą ma Pani rację, twierdząc, że powinnyście się, kobiety, zdobyć na własny „styl” w korporacji. Tylko... tylko, że Pani zwróciła uwagę na zewnętrzną, formalną stronę korporacji, na głupstwa, że się tak poprostu wyrażę. Denerwują Panią czapki, dekle, nazwa... Ech! sądzę, że zarówno Pani, jak i mnie, chodzi o co innego. Jabym chciał, żebyście tchnęły w korporacje ducha kobiecości (bo mam o tym duchu bardzo wysokie mniemanie). Jestem studentem, ale nie korporantem. Możemy mówić swobodnie. Obserwuję korporacje na przejawach ich działalności zewnętrznej. Panno Basiu! Szczyt marzeń każdej studentki, to widzieć swego milego w korporantce. To ponoć najwyższa godność, jaką student osiągnąć może. Mnie się zdaje, że to wielka, ogromna przesada. Ależ naturalnie! „Ideje” korporacyj są bardzo piękne, wzniosłe! Tylko, jak te ideje są w życie wcielane? Gdzież jest ich realizacja? Dla mnie, proszę, podpisuję się imieniem i nazwiskiem, pierwszą realizacją idei korporanckich jest gruba laska (czyście kiedy spotkali korporanta bez laski?), drugą: kufel (niech będzie „staropolskiego miodu”, wszystko jedno), trzecią: bal. Ależ prawda! korporanci to najbardziej eleganccy, najzgrabniejsi chłopcy, tańczą tak ładnie!... Któż przeczy! Nie przeczę i ja, tylko twierdzą, że prócz zbytecznej, lub nawet ujemnej działalności, innej korporacje męskie nie wykazują.

Mając taki przykład z „panów stworzenia”, tworzycie własną, żeńską korporację. Bardzo Wam to chwalebę, że w szybkim pochodzie naprzód nie zapomnieliście i o tym związku. I nie to, że bierzecie podobne do męskich czapki, dekle, nazwy. Wy się na inny, własny styl możecie zdobyć. Na styl mocnego przeciwstawienia się ujemnym stronom korporacyj męskich.

Tadeusz Jastrzębiec-Rogowski — Milanówek.

### Słów parę (w odpowiedzi „Rozgoryczonej” S. F.)

Tylko z uwagi na rozbijającą szczerłość, wskazującą na zupełną nieświadomość wychowawczą Sz. Pani, omawiam Jej wychowawcze sprawy.

Zwierzę nie stosuje nigdy gwałtu do młodszego swego gatunku, a mimo to, a może właśnie dlatego, wychowuje swoje młode lwiątko, łoszaki, czy kurki na bardzo porządne lwy, konie i kury. Jeżeli ojciec lub matka kłamali lub kłamią, będą to robiły napewno ich dzieci w pewnym okresie rozwoju i żadne bicie, czy inny gwałt z pewnością tej przywary nie usunie, przeciwnie: spotęguje kłamstwo, jako broń słabszego, wobec całego ogromu różnych „mądrych i koniecznych” nakazów i zakazów, jakimi się te maleńkie duszyczki ograniczać zwykło.

Poza miłością bliźniego, zalecaną przez wszystkie wielkie religje, doszliśmy już obecnie do pewnych stałych pojęć: jako jedno z nich, należy uważać równe dostojństwo każdego człowieka, którego każdy gwałt boleśnie rani, obraża, rozgorycza i często nawet na całe następne życie stwarza pewne antyspołeczne nastawienie. I dlatego też wszelkie ustawodawstwa chronią już dzisiaj wszystkich ludzi, bez żadnej różnicy, przed gwałtem odnośnie do zdrowia, własności i czei. Każdy słabszy ma więc już nie tylko w sereach ludzkich, ale i w kodeksach zapisane prawo do opieki ze strony silniejszego.

Bicie przeto wogóle, a specjalnie dzieci, podlega, po za wszystkim innym, karze, jako naruszenie czei dziecka, względnie jego rodziców, a w wielu wypadkach także karze, za uszkodzenie ciała.

To, że bite i poniewierane dzieci nie „przepraszają” za te akty gwałtu, do nich stosowane, wskazuje, iż nie nauczyły się stosować obłudy, hipokryzji i kłamstwa w odpowiedniej mierze.

Apriorystyczne urabianie sobie pewnych wzorów i dostosowywanie następnie do nich mechaniczną przemocą pewnych

indywidualności, jest eksperymentem, który zasadniczo źle się kończy dla indywidualności, będącej przedmiotem tego zabiegu, gdyż przemocą zmienia jej osobowość.

Dziecko nieposłuszne, krnąbrne, wykazuje tem wybitną indywidualność, a więc cechę bardzo dodatnią. Celem wychowania jest wyrobić uspołecznionego człowieka. Należy przeto usiłować podnieść, wzmóc w dziecku cechy, mogące w przyszłości przynieść społeczności ludzkiej pewne korzyści, a przytłumić, zepchnąć po za próg świadomości, cechy przeciwnie. Wszystko to jednak musi być rezultatem metod pedagogicznych, a nie gwałtownych kar; świat nie jest zakładem karnym, którego pupile, ofiary złych wychowawców, muszą być dla bezpieczeństwa innych ludzi trzymeni w pewnych ograniczeniach ich przyrodzonej ludzkiej wolności i swobody, dopóki społeczeństwo nie zdobędzie się dla nich na sanatorja.

Ile to siły woli będzie musiał zużyć kiedyś ten, w dzieciństwie bity przez kobietę człowiek, aby wyrobić w sobie właściwe nastawienie i zachować należyte formy w stosunku do kobiet w życiu dalszem i czy się zdobędzie na to?!

Teoria odstraszenia, po tylu różnych próbach, już ostatecznie zbankrutowała jako metoda wychowawcza. Terrorem można się posługiwać tylko na krótką metę, a w dodatku owoce jego są zawsze bardzo cierpkie i niestrawne.

O krzywdę takich bezbronnych istot bezpośrednio, a pośrednio całego społeczeństwa, ma prawo i obowiązek ująć się każdy, komu na lepszej przyszłości choć trochę zależy. Dzieci będą bowiem kiedyś dorosłymi i staną się członkami społeczeństwa ludzkiego. Nikomu zaś nie może być obojętne, czy nie będzie zmuszony odczuwać uczuciowego i duchowego kalectwa u współbliźnich i płynących z tego konsekwencji.

Mr. pr. Emil Reinold — Nadwórna.

### W obronie nauczycielstwa (w odpowiedzi p Leonardzie W. z Podola)

Już kilka razy poruszała Sz. Pani w „Naszej Mównicy” sprawę nader palącą, t. j. sprawę polskości na Podolu. Solidaryzuję się z Sz. Panią, ale nie zupełnie. Ponieważ i ja jestem z Podola, więc kreślę parę słów.

Mieszkam w małej wiosce na granicy bolszewickiej, gdzie ludność w 50 proc. jest ruska i wszyscy mieszkańcy posługują się językiem ruskim. Niema tu księdza, ani dworu. Jedynym ośrodkiem kultury jest szkoła 3 klasowa, a w niej kierownik i dwie siły nauczycielskie. I co Sz. Pani powie na to, że właśnie szkoła wcale nie w rzadkich wypadkach, ale zawsze jest strażnicą polskości tu, na Kresach Wschodnich, a nauczyciele wcale nie „na austriacką modłę” wypełniają swój zawód, bo są to ludzie przeważnie młodzi, którzy nawet nie znają przepisów austriackich, a że uczą ściśle według programów, to właśnie dobrze, bo przedewszystkiem kładą nacisk na wychowanie obywatelskie. I wiedzą też doskonale, że uczeń-polak podpisze się zawsze po polsku, bo go tego nauczyli. Więc Sz. Pani jest w błędzie i ma, jak widzę, lekkie uprzedzenie do nauczycielstwa.

W naszej okolicy istnieją czytelnie T. S. L., Zw. Strzeleckiego, Zw. Młodzieży Wiejskiej, Oddziały Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet i inne, w których zorganizowani są młodzi ludzie i ci zaczynają już między sobą mówić po polsku. Piszę „młodzi”, bo starych już nikt i nic nie przekona. Pracą w tych organizacjach zajmują się u nas i w całej okolicy przeważnie nauczyciele.

Nie wszędzie, proszę Pani, są dwory i księża i nie wszędzie ci ostatni pracą społeczną się zajmują, a nauczycielstwo jest wszędzie i zawsze na tem polu pracuje. Możemy być pewni, że nowe pokolenie będzie już należycie obywatelsko uświadomione.

Marylka W. z Podola.



## SEZONOWE PRZERÓBKI

U progu każdego sezonu garderoba nasza podlegać musi gruntownej rewizji.

Z jednej strony żąda tego moda, stawiająca coraz to nowe wymagania i przynosząca nowe nakazy, z drugiej strony — zniszczenie, jakiemu podlega noszone ubranie.

W czasach obecnych, wyjątkowo ciężkich pod względem ekonomicznym, rewizja taka ma bardzo doniosłe znaczenie. Staranny przegląd tego, co mamy w domu, niewątpliwie przyczynić się może do oszczędzenia pieniędzy i umożliwi nam uzupełnienie garderoby tanim kosztem.

Każdy przedmiot, przeznaczony do przeróbki, należy zbadać bardzo dokładnie i przekonać się, czy nie spłowił, czy nie ma dziur, czy po dokładnym odświeżeniu nabierze cech rzeczy nowej i porządnej i czy przerabianie nam się opłaci. Po uważnym zanalizowaniu tych warunków należy przystąpić do odświeżenia rzeczy, przeznaczonej do dalszego użytku, zanim poddamy ją przeróbce. Nie można pod żadnym pozorem przerabiać garderoby brudnej. Przedewszystkiem ze względów higienicznych, a następnie estetycznych i praktycznych. Szkodliwe jest dla zdrowia noszenie rzeczy brudnej lub nicowanej stroną



*Suknia letnia podłużona zapomocą karczka.  
Kolorowy zakieciak stosorony do kilku sukien.*



*Kostjum podłużony zapomocą nowej blużki, ozdobionej karczkiem z tego samego materiału.  
Długa blużka, ostaniająca przysztukowany karczek spódnicy.  
Suknia przerobiona z kostjumu.*

brudną do skóry. Garderoba źle uprasowana, poplamiona, zmięta i brudna robi odrażające wrażenie. Wreszcie za odświeżaniem przemawiają i względy ściśle praktyczne, gdyż ubranie gruntownie odnowione będzie mogło służyć nam znacznie dłużej. Koszt prania chemicznego, farbowania, czy też prania i prasowania w domu nieznacznie tylko podniesie ogólne koszty przeróbki, dając, jako ekwiwalent, przedmiot naprawdę gruntownie odnowiony.

Przy przerabianiu należy wystrzegać się poglądu, że przeróbka może być zrobiona byle jak, właśnie dlatego, że jest przeróbka. Przeciwnie: ten rodzaj krawiecczynny wymaga wprawnej, uważnej ręki i pomyslowej główki, jeżeli chcemy otrzymać z pod igły garderobę „jak nową“.

Obecna moda jest niezmiernie podatna dla wszelkich tego rodzaju poczyniń. Przestało nas obowiązywać jednobarwne ubieranie się od stóp do głów. Wolno nam łączyć parę lub kilka barw naraz, byleby to było zrobione umiejętnie i z gustem. Wolno tkaninę gładką przybierać wzorzystą i naodwrot. Wolno poza płaszczami i kostjumami (cieszą się olbrzymim powodzeniem) nosić na ulicę suknie typu robe-manteau (suknia-płaszcz), których nie nosiliśmy od szeregu lat. Wolno... ale zawiele trzebaby wyliczać.



Sukienka na szeleczkach wykonana ze starej sukni.  
Sukienka z kamizelką, wykonana z letniego palt.  
Spodeńki uszyte ze spódniczki i bluzka z popelinowej podszewki żakietu.

Należy więc jeszcze raz podkreślić, że nietylko można, ale trzeba w tym sezonie przerabiać, ze względów oszczędnościowych. Ale musimy robić to mądrze, praktycznie, podstawowo, mając na względzie korzyść, jaką nam dany obiekt przyniesie.

Ażeby zobrazować dokładnie powyższe twierdzenie, postaramy się podać kilka przykładów.

Co zrobić z krótkim paltem? Po dokładnem odświeżeniu można je obciąć jeszcze bardziej, tak, aby wyglądało, jak długi żakiet. Włożony na spódniczkę gładką lub w kratę, w odpowiednim kolorze, dostosowaną do materiału palt, stanowić będzie elegancką całość.

Z palt niemodnego a niezbyt grubego można spróbować uszyć spódniczkę, dorabiając do niej odpowiedni żakiecik. Palto grubsze przerobić można na żakiet do spódniczki. Z resztek palt szyje się ubranka lub spodeńki do bluzek dla chłopców. Z palt dużych można też robić płaszczyki lub sukienki dla dzieci i podłotków.

Z kostjumu, którego nie chcemy już nosić, powstać może całkowita sukienka, lub spódniczka z bolerkiem, z rękawami lub bez. Bardzo szczęśliwe są połączenia odmiennych dwóch żakietów, noszonych do jednej spódniczki, lub dwóch różnych spódnic do jednego żakietu.

Sukienka, wydarta pod pachami, lub z podartymi rękawami, da się łatwo przerobić na spódniczkę długą, o ile zaopatrzymy ją od góry w obcisły karczek.

Z niemodnej sukni gładkiej lub deseniowej możemy mieć nową, o ile dokupimy materiału i umiejętnie skombinujemy tkaninę gładką z wzorzystą.

Modne długie suknie i kloszowe wolanty bardzo ułatwiają podłużanie i przeróbkę powiewnych sukien. Dużą pomocą jest w tym wypadku spód, do którego można przyszyć część falban, lub dodać nowe,

nietylko podłużając, rozszerzając, ale i wyrównując dolną linję sukni. Do takiej sukni można nosić żakiecik z tego samego materiału, lub gładki, z bardzo modnego, miękkiego aksamitu, co jest ostatnim wyrazem mody. Jeden żakiecik, umiejętnie barwą dobrany, posłużyć może do kilku sukien. Włożony na powiewną suknię wieczorową, stanowić będzie wraz z nią ładny strój popołudniowy, stosowny na wizyty, zebrania, lub rozrywki na powietrzu.

Omawiając szczegóły przeróbek, podkreślić należy bardzo szczęśliwy wynalazek obecnej mody: żakieciki i bolerka, umożliwiające wielorakie kombinacje toaletowe. Koszt takiego żakiecika jest niewielki—natomiast zastosowanie praktyczne bardzo duże.

Modne obecnie bluzki z baskinami lub pulloverki (nie chciałyśmy się ich wyrzec!), noszone na wierzch spódniczki, zakrywają karczek tej przerobionej szatki, karczek, różniący się czasem kolorem lub gatunkiem od reszty, którą mogłyśmy tylko w ten sposób podłużyć. Z całych, nieprzetartych jedwabnych podszewek z pod palt możemy robić bluzki, lub spody pod przezroczyste suknie. Natomiast z przyniszczonych spodów jedwabnych z pod sukien można wybrać całe kawałki i sporządzić z nichienne kombinacje.

Potrzeba powinna być istotnie gorliwą patronką wynalazków. W całej sprawie głównie chodzi o to, żeby praktycznie obmyślić, przygotować i obliczyć wszystko, zanim zaczniemy robotę, mającą na celu zreformowanie garderoby, zgodnie z brakami naszych toalet, z nakazami mody i jednocześnie ze wskazaniami oszczędnościowymi, tak niezbędnymi w dobie obecnej.

M. Dobrowolska.

## CZEM DOROBIĆ

I.

### JEDWABNICTWO.

Idąc po linii zapoznania się ze źródłami dochodów dodatkowych, łatwych do pogodzenia z zawodem pani domu, pochłoniętej obowiązkami, związanymi z wychowaniem dzieci i gospodarstwem, trudno nie wysunąć na pierwszy plan hodowli jedwabników.

Napozór zdawałoby się, że hodowlą jedwabników mogą i powinny zainteresować się jedynie kobiety, związane z ziemią, pracujące na mniejszym, lub większym jej skrawku. Tymczasem, rozpatrując tę sprawę bliżej, widzimy, że trzeba tylko trochę dobrej woli, aby czynne zainteresowanie hodowlą jedwabników pomieścić nietylko na terenie wsi, ale i okolic podmiejskich, a nawet miasteczek prowincjonalnych.

Propagandę jedwabnictwa trzeba rozpocząć od rzeczowego oświecenia samej sprawy, a zatem od odpowiedzi na pytanie: czego potrzeba do zapoczątkowania hodowli jedwabników?

Przedewszystkiem — drzew, lub żywopłotów białej morwy, a więc ziemi, na której możnaby ją hodować, lub znajdującej się w pobliżu plantacji, czy wystarczającej ilości okazów, które dostarczyłyby liści na wyżywienie naszej hodowli.

Wobec tego, że hodowlą morwy białej zainteresowały się sfery rządowe i samorządowe, inicjatywa prywatna może pełnić jedwabnictwo na prawdziwie szerokie tory.

Nie chodzi tutaj bynajmniej o zakładanie hodowli na wielką skalę, która wymagałaby specjalnych budynków, urządzeń, licznych, najemnych rąk do pracy. Tak pojęta, zahaczyłaby się znów o wyrostającą na drodze wielu naszych zamierzeń, a niezwal-

czoną przeszkodę — brak kapitału zakładowego, przestałaby być zajęciem dodatkowym, niewykolejającym biegu uregulowanej pracy domowej, a stałaby się zawodem kłopotliwym, bo wymagającym zmontowania aparatu wytwórczego, zgrupowania licznych rąk roboczych na krótki przeciąg 6 tygodni.

Tymczasem hodowla jedwabników na *niewielką skalę* jest wolna od tych wszystkich punktów zaczepnych, które ją utrudniają i może przynieść początkującemu hodowcy w przeciągu krótkich kilku tygodni poważny dochód, bo przeciętnie zł. 500, przy włożeniu w niezbędne urządzenia i zakup jajeczek zł. 70-ciu.

W okresie hodowlanym wystarczy poświęcić kilka godzin dziennie pracy dokoła jedwabników. Praca ta jest łatwa, mało skomplikowana, nie wymaga żadnych specjalnych uzdolnień, ani wyszkolenia, jedynie wielkiej staranności i systematyczności, oraz podstawowego, a przystępnego zapoznania się z jej wymaganiami.

Mało uciążliwa, jest odpowiednim zajęciem dla dzieci, osób starszych, słabych, niezdolnych do intensywnego wysiłku.

Idealnym systemem szybkiego wzrostu produkcji byłoby bezsprzecznie zrzeszanie się osób zainteresowanych, które mogłyby na terenie osiedli podmiejskich, miast i miasteczek prowincjonalnych, bogatych w ogrody, ogródki i wolne tereny, wprowadzić wspólnymi siłami i wspólnym kosztem hodowlę morwy, zużywając liście jej na wyżywienie jedwabników.

Tą akcją propagandową i wysoce dochodową zarówno dla jednostek, jak i bilansu handlowego naszego kraju, któremu przez rozpowszechnienie hodowli jedwabników zaoszczędzić można sumę 50.000.000 zł. rocznie (wysokość importu jedwabiu z poza granic kraju), zając się powinny przede wszystkim zrzeszenia kobiece, z organizującym się Związkiem Pań Domu na czele.

Jednostki energiczne, czynne, których nie brak w żadnej organizacji kobiecej, mogą łatwo stworzyć przy swych stowarzyszeniach specjalną sekcję jedwabniczą, uświadamiając członkinie o doniosłości i rentowności hodowli jedwabników, ułatwiając im założenie hodowli i nawiązanie kontaktu z Centralną Stacją Doświadczalną w Milanówku, która jest również dostarczycielką drzew, krzewów morwowych i jajeczek, jak instruktorką i stałą, pewną, niezawodną odbiorczynią wyhodowanego surowca.

Akcją tego rodzaju powinny się też zająć panie ziemianki, gospodynie wiejskie, nauczycielki szkół wiejskich i prowincjonalnych, pamiętając o tem, że niewielkie stosunkowo ilości jedwabiu, wyhodowane przez poszczególne osoby, złożą się w sumie na poważny wzrost produkcji krajowej i zbliżać nas będą rok rocznie do ideału: do kompletnej na tem polu samowystarczalności.

Chcąc przekonać Panie, jak mało skomplikowane jest zorganizowanie hodowli jedwabników, postaram się zobrazować w krótkich słowach, czego potrzeba do zaprowadzenia hodowli domowej.

Niezbędne jest odpowiednie pomieszczenie, czyli *wychowalnia*. Wychowalnia powinna być umiarkowanie widna, zabezpieczona od promieni słonecznych, zaopatrzona w piecyk, który umożliwi utrzymanie równej temperatury. Niezbędnymi warunkami dobrej wychowalni są: czystość i dopływ świeżego powietrza; pozatem musi być wolna od wilgoci.

Wychowalnię urządzać można zarówno w pokoju mieszkalnym o północnej, lub zachodniej wystawie, jak i w wozowni, śpichlerzu, niewielkiej komóreczce, od-

powiadającej wyżej wymienionym warunkom, a nawet i w lamusie.

Jedynym niezbędnym sprzętem jest etażerka stojąca, albo wisząca, wyposażona w ramy, umieszczone jedna nad drugą w odległości mniej więcej 40—50 cm.

Ramy sporządza się z listew drewnianych i obciąga siatką drucianą, lub sznurkową o oczkach wielkości 5 — 6 cm.

Z chwilą rozpoczęcia hodowli, to znaczy ożywienia jajeczek, potrzebne też będą tak zwane zdejmniki, czyli arkusze papieru, pokryte okragłymi otworkami, przystosowanymi wielkością do stopnia rozwoju gąsienic, które to otworki wybija się zapomocą specjalnych wybijaczy. Jeżeli do tego dodamy jeszcze wiązkę wysuszonych gałązek dębowych z liśćmi, suchych pręcików roślin, a nawet wiórów drzewnych, niezbędnych w okresie budowania oprzędów — całe wewnętrzne urządzenie jest gotowe.

Łatwo zrozumieć, że zarówno trud, jak i koszt jest minimalny, a wszystkie przygotowania, niezbędne do poprowadzenia hodowli, jak zresztą i sama hodowla, mogą być wykonane siłami domowymi. Aczkolwiek hodowla jedwabników jest mało skomplikowana i bardzo łatwa, przed rozpoczęciem trzeba zapoznać się z nią podstawowo. Sądzę, że najracjonalniej byłoby zwiedzić Centralną Stację Doświadczalną w Milanówku, przyjrzeć się jej urządzeniom, zasięgnąć rady i wejść w ten sposób w stały kontakt z twórcami tej gałęzi hodowlano-wytwórczej — z pp. Witaczkami, którzy zapoczątkowali jedwabnictwo krajowe i służą mu z wzrastającym stale zapałem i oddaniem. Uzupełnienie wiadomości znajdzie każdy zainteresowany w doskonale opracowanych broszurkach: „O hodowli jedwabników“ i „O hodowli morwy białej“, które w sposób przystępny podają wiadomości z dziedziny jedwabnictwa.

Uważne przestudjowanie broszurki — to kurs wystarczający dla początkującego hodowcy, byle docenił konieczność drobiazgowego przestrzegania podanych wskazań i nie bagatelizował ich.

Osoby, które pragną się zaznajomić z całokształtem hodowli na większą skalę, mogą zapisać się na kurs jedwabnictwa, jaki prowadzi corocznie, w okresie hodowlanym, Centralna Stacja Doświadczalna w Milanówku.

Zyski z hodowli jedwabników, w stosunku do nakładu, zużytego czasu i sił, są bardzo znaczne. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę łatwość przesyłania produkcji (oprzędów), oraz unormowany i zapewniony zbył (Stacja Doświadczalna skupuje cały wyprodukowany surowiec i przerabia go na miejscu, zatrudniając w ten sposób liczne ręce polskich robotników i robotników), zorientujemy się łatwo, że nic nie stoi na przeszkodzie zainteresowaniu, jakie powinno obudzić jedwabnictwo polskie w jak najszerszych warstwach społeczeństwa, a wśród kobiet przede wszystkim.

Kalkulacja hodowli przedstawia się, jak niżej.

Nakład:	
25 gr. jajeczek po 60 gr. —	Zł. 15
papier na zdejmniki	„ 35
opał i dezynfekcja wychowalni	„ 15
amortyzacja urządzeń	„ 5
	Zł. 70.

Przeciętny zbiór oprzędów z 25 klg. jajeczek wynosi + — 60 klg. Za świeże oprzędy Stacja Doświadczalna w Milanówku płaci zł. 9.50 za kilogram, czyli, że po przeliczeniu otrzymamy sumę zł. 570.

Wanda Dobrzańska.

## JAK SCHUDNAĆ

Leczenie otyłości datuje już od lat najdawniejszych. Ojciec medycyny, Hyppokrates, żyjący około 460 r. przed narodzeniem Chrystusa, w swoich pracach omawia dość dokładnie dietę i sposób życia, jaki należy stosować przy skłonności do tycia.

Między innymi mówi on: „ludzie otyli, a także ci, którzy chcą być szczupłymi, powinni od lat najmłodszych pracować fizycznie i zasiadać do posiłków bezpośrednio po pracy, bez żadnego przed nią odpoczynku, t. j., gdy się jest jeszcze „zadyszany” od zmęczenia.

Potrawy muszą być chude, przytem nieobfite. Spać powinno się na łóżach twardych, poza tem spacerów używać jaknajwięcej.

Późniejszy lekarz grecki (I wieku naszej ery), współczesnik Nerona-Areteusza z Kapadocji — przy otyłości zalecał kąpiele morskie i natryski. Również grecki lekarz Galien z Pergamy (131—201 r.), którego prace cieszyły się autorytetem jeszcze i w XVII-ym wieku, również zalecał kąpiele. Plinusz Młodszy (urodzony w 23 r. po Chrystusie) przyjaciel Trajana, nakazuje wstrzeźliwość w używaniu płynów. A jak zwracano uwagę na wygląd zewnętrzny, świadczy fakt, że już synowi Aproniusza wycinali tłuszcz, ażeby zmniejszyć jego wagę.

W wiekach średnich w kierunku leczenia otyłości nie zrobiono żadnego kroku naprzód. Przeciwnie, szukając coraz to nowych dróg, wpadano w dziwactwa. Tak np. stosowano wówczas popiół ze żmij, zalecany przez znachorów; środek ten, nie mając żadnych podstaw naukowych, był, oczywiście, bez żadnego znaczenia dla organizmu.

W epoce Renesansu nie uważano zbyt obfitych kształtów za wadę, z którą należałoby walczyć, to też przepisy ówczesnych lekarzy (jak np. Borellego i duńczyka Bartoliniego) nic nowego nie wnosiły po nad to, co wynaleźli wielcy grecy. Próbowali oni jeszcze stosowania środków przeczyszczających, napotnych i powodujących zwiększenie się ślinotoku. W epoce ówczesnej również duże zastosowanie miało puszczanie krwi, jakkolwiek z naszego punktu widzenia ten rodzaj kuracji nie mógł być obojętny dla organizmu, a napewno nie przynosił pożądaných rezultatów, przynajmniej na czas dłuższy.

W początkach wieku XIX-go dużo przepisów podał Brillat-Savarin, lecz i one są bez specjalnego znaczenia. Dopiero w połowie zeszłego stulecia leczenie otyłości zrobiło krok naprzód. Dzisiejszy rodzaj kuracji można rozdzielić na trzy zasadnicze grupy:

I) Pierwszy rodzaj kuracji nie zawiera żadnych ograniczeń w jedzeniu i pić.

II) Druga grupa obejmuje przepisy ograniczające:

- a) spożywanie pokarmów stałych i płynnych;
- b) spożywanie tylko pokarmów stałych.

III) Trzecia grupa obejmuje sposoby leczenia przy pomocy środków farmaceutycznych, wyciągów z gruczołów i t. p.

Pierwszy rodzaj kuracji ma niewielu zwolenników, jakkolwiek do nich należą lekarze tej miary, co Deschamps. Ponieważ jednak rezultaty tej metody nie są naogół nadzwyczajne, więc nie będę nawet o niej wspominała. Natomiast druga grupa w zupełności zasługuje na uwagę, jako mająca podstawy naukowe i dająca duże rezultaty praktyczne, to też posiada

ona bardzo dużo zwolenników. Istnieje jednak sporo odchyień, niema dotąd ujednostajnienia w tej metodzie, jakkolwiek u wszystkich jej zwolenników zasada pozostaje ta sama.

Na wstępie zaznaczę, że średnią normalną dawką na dobę powinno być: białka 107 gr., tłuszczu 64 gr. i węglowodanów 407 gr.

Pierwsza podgrupa tej drugiej grupy przewiduje, jak już wspominałam, ograniczenie w spożywaniu zarówno pokarmów stałych, jak i płynnych. Naukowe zasady tego rodzaju kuracji podał pierwszy Dancel, i od tego czasu metoda ta uzyskiwała wielu naśladowców i reformatorów, którzy jednak zawsze kierowali się jego zasadniczymi wskazówkami.

Według samego Dancel'a, nie należy jadać pierwszych śniadań. Na śniadanie (około godziny 12-ej) powinno się zjadać dwa jajka lub kotlet z sałatą i pomarańczą, czy jabłko i wypijać szklankę kawy bez cukru. Około godziny 4-ej popołudniu — obiad, składający się ze 120—130 gr. smażonego mięsa, jakiegś gotowanej jarzyny, np. kapusty, brukselki, szpinaku i t. p. z 30 gramami tłuszczu. Takiego rodzaju pożywienie zawiera w sobie około 50 gr. tłuszczu i 35 gr. węglowodanów.

Dieta według Huchard'a jest nieco ściślejsza, jednak łatwiejsza do wykonania. Na pierwsze śniadanie zaleca on od 60 gr. do 100 gr. chudego zimnego mięsa, 10 gr. sucharków, szklankę lekkiej herbaty bez cukru; o 10-ej godzinie jajko na miękko bez chleba; o 12-ej — 60 do 100 gr. dobrze wysmażonego mięsa, bez sosu, oraz dowolną ilość gotowanej jarzyny bez masła i innych tłuszczów (np. oliwy), 30 gr. chleba czerstwego, 2 szklanki lekkiej herbaty gorącej bez cukru. O godz. 4-ej szklanka lekkiej herbaty bez cukru; o 7-ej g. — 2 jajka, zielona jarzyna (jak w południe), 30 gr. chleba, 2 szklanki herbaty bez cukru. Tym sposobem w ciągu całego dnia spożyte będzie 90—106 gr. białka, 34 gr. tłuszczu i 70—100 gr. węglowodanów.

Według Dujardin-Beaumetz'a dieta jest następująca: Na pierwsze śniadanie 25 gr. chleba, 50 gr. mięsa; w południe 50 gr. chleba, 100 gr. mięsa lub 2 jajka, 100 gr. zielonej jarzyny, 15 gr. sera i dowolna ilość owoców. Na obiad to samo, co i w południe. Płynów można używać 200 gr. na pierwsze śniadanie i po 300 gr. — t. j. około 1,5 szklanki — podczas innych posiłków. O ile pacjentki mają duże pragnienie, wówczas kasuje się pić podczas jedzenia, natomiast pozwala się pić dowolną ilość płynów w innych godzinach.

Jedną z trudniejszych do wykonania jest metoda prof. Bouchard'a, która składa się z 2-ch okresów leczenia. W I-szym okresie zmniejszonych dawek na 24 godziny daje się 1250 gr. mleka i 5 jajek; w 5-ciu posiedzeniach zjada się po jednym jajku i wypija dużą szklankę mleka. Ten pierwszy okres kuracji trwa 3 tygodnie; przyjmuje się wówczas na dobę 80—90 gr. białka, 65 gr. tłuszczu i 70 gr. węglowodanów. W drugim okresie kuracji pożywienie może być urozmaicone. Oprócz metod, ograniczających spożywanie wszystkich zasadniczych pokarmów, są jeszcze metody, ograniczające tylko spożywanie tłuszczu i węglowodanów, natomiast zezwalające na spożywanie substancyj białkowych w ilości dowolnej. O tej metodzie, jak i o innych, pomówimy w następnej pogadance; a teraz na zakończenie podam dla orjentacji wykaz środków spożywczych według tablic: Atwater'a, Boas'a, Gautier'a, de Koenig'a i Rübner'a.

### A. POTRAWY MIĘSNE I RYBY

Mięsa 100 gr.	Białka gr.	Tłuszczu gr.	Węglowodanów gr.	Kalorie
Wołowina średnio tłusta	20,7	1,74	0,45	120
Wołowina gotowana	35,1	2,1	—	
„ smażona	22,9	5,19	0,4	
Ciełęcina chuda	19,88	0,82	0,6	106
Ciełeca wątroba	17,66	2,39	1 do 6	
Kurczęta	19,72	1,42	1,3	116
Kaczka dzika	34	3,7	1,7	161
Kuropatwa	25	1,4	1,4	145
Szczupak	18,42	0,55		96
Dorsz	16,23	0,33		94
Jesiotr	18	0,9		107
Flądra	18,7	1,9		110
Sielawy morskie	17,2	0,3		89
Okuń	18,5	0,7		97
Pstrąg	19,1	0,7 do 2,1		110
Raki	16	0,4		85

### B. NABIAŁ I JAJA

	Białka gr.	Tłuszczu gr.	Węglowodanów gr.	Kalorie
Mleko niezbiernane 100gr.	3,4	4,2	5,2	75,6
„ zbierane „	3,3	0,8	5	43,5
Kefir	3,4	1,4	3,2	42
Jaja (100 gr. w skorupie)				
(jajko waży ok. 60 gr.)	12,5	1,1	0,5	170
Białko 100 gr.	12,8	0,2	0,8	68
Żółtko 100 gr.	16	31	0,5	360

### C. JARZYNY

	Białka gr.	Tłuszczu gr.	Węglowodanów gr.	Kalorie
Szparagi	1,8	0,25	2,06	19
Kalafjory	0,5	0,34	4,5	33
Kapusta zielona	3,3	0,2	5,7	41
Ogórki	1,2	0,1	2,6	18
Szpinak	3,5	0,6	4,5	40
Fasola zielona	2	0,3	4,5	32,5
Pomidory	1,2	0,3	5	29
Rzodkiewka	3,1	0,1	7	
Groszek zielony	6,3	0,5	12	84
Kartofle gotowane	1,3	0,15	20	88

### D. OWOCE

	Białka gr.	Tłuszczu gr.	Węglowodanów gr.	Kalorie
Pomarańcze	0,7	0,26	12	54
Gruszki	0,36		16	
Maliny	0,4		11	
Porzeczki	0,5		7,5	

O innych środkach pokarmowych jak np. wołowina, baranina, połówka wołowa, kotlety cielęce, szynka, kielbasa, pularda, indyk, gęś, karp, kawior, śledzie wędzone, sardynki, sery, potrawy mączne, z owoców zaś: banany, daktyle, orzechy, kakao, czekolada — nie wspominam, gdyż są przeciwwskazane w dietetyce otyłości, jako zawierające dużo tłuszczu.  
Dr. med. Zofja Rostkowska.

### KABACZKI

Jak najwięcej jarzyn, a jak najmniej mięsa — mówi najnowsza teoria odżywiania.

Chcąc się do tej teorii zastosować, a mieć przy tym pożywienie jak najbardziej urozmaicone, musimy na nasz stół wprowadzać coraz to inne jarzyny. Rozmaitość, zwłaszcza podczas lata, rzeczywiście może być ogromna, trzeba tylko umiejętnie dobrać rodzaje warzyw.

Panie, mieszkające na wsi, a także właścicielki nawet niedużych ogródków podmiejskich, przy stosunkowo niewielkim nakładzie pracy (mówię: niewielkim — boć do pracy w ogrodzie dodać trzeba przyjemność, płynącą z tego zajęcia, ruch na świeżym powietrzu, a potem zadowolenie z otrzymanych pięknych okazów warzyw własnej produkcji, co tak wyraźnie zmniejsza trud) — mogą osiągnąć z tego źródła naprawdę duże zadowolenie. Tembardziej, że warzywa są bardzo wdzięcznym materiałem i sownie odpłacają podjętą pracę.

W artykule niniejszym chciałabym zachęcić Szanowne Czytelniczki do wprowadzenia do swego ogródka jarzyny, stosunkowo mało używanej, mianowicie „kabaczków“. Jest to rodzaj bani, której uprawa jest prosta i łatwa, a jarzyna ta, przyrządzana w bardzo różny sposób, daje naprawdę smaczną i delikatną potrawę.

Kabaczki, o których mówię, figurują w katalogach firm ogrodniczych pod nazwą „Bania lub dynia szparagowa“ — „Vegetable Marrow“.

Są to banie nieduże, podługne, kanciaste, jasno zielone, lub w ciemno zielone prążki. Jadamy je w stanie zielonym, bo im młodsze, tem są delikatniejsze — dojrzałe nie nadają się zupełnie do jedzenia, gdyż są twarde, twardo i niesmaczne.

Jak już wspominałam, uprawa ich jest bardzo prosta. Wysiewamy je dopiero w drugiej połowie maja, gdyż rośliny te są bardzo czule na mróz: najmniejszy przymrozek może je zniszczyć. Udadzą się w każdej ziemi, byle zasobnej w pokarmy łatwo przyswajalne, o także odpowiednio wilgotnej, gdyż na wodę kabaczki są bardzo łakome. Ponieważ rośliny te, jak zresztą wszystkie dyniowate, pochodzą z południa, damy im więc w naszym ogrodzie miejsce o dobrej wystawie południowej, gdzie cały dzień mamy poddo-

statkiem słońca. Przed posadzeniem przekopimy wybrany kawałek, a po zagrabieniu wyznaczmy go pod sznur na krzyż co 1,5 m. lub co 2 m. W punktach przecięcia się linii wybierzemy dołki o 50 cm. średnicy, na szpadeł głębokie, i napelnimy je dobrą ziemią kompostową, lub do wybranej z dołka ziemi dodamy przetrawionego obornika z pod inspektów i trochę nawozów sztucznych (2 łyżki soli potasowej, 3—4 łyżeczki superfosfatu i 1 łyż. saletry), które dokładnie wymieszamy z ziemią, poczem napelnimy nią dołki, formując z niej jakby małe, okrągłe klombiki. Teraz sadzimy po 4—5 ziarenek kabaczków, zagłębiając je na 2—3 cm., a następnie podlewamy, starając się utrzymać ziemię wilgotną aż do wzejścia roślin. Po wzejściu usuwamy słabsze rośliny, pozostawiając dwie, trzy najwyżej. Dalsza pielęgnacja polegać będzie jedynie na pieleniu i motyczeniu w miarę potrzeby.

Można też kabaczki wysiać wcześniej do doniczek (po jednym ziarnku) i trzymać je w inspektach, lub w pokoju na oknie; na miejsca stałe wysadzamy wraz z bryłką ziemi dopiero w końcu maja lub początku czerwca. Tak hodowane rośliny dadzą owoce nieco wcześniej.

Dla normalnego rozwoju (żeby mogły wydać owoce odpowiedniej jakości) potrzebują kabaczki dużo wilgoci, gdyż duże ich liście wyparowują znaczne ilości wody. Musimy więc nie żałować im wody i możliwie często i obficie podlewać. Podlewać będziemy bez sitka, lejąc wodę dokoła korzeni, tak jednak, by nie zalewać szyjki korzeniowej. Najlepiej więc zrobić wokoło dołka zaprawionego, gdy rośliny będą już spore — rowek i napelniać go raz na dzień wodą.

Kabaczki w miarę wzrostu rozścielają się po ziemi (niektóre odmiany rosną kępami) i zaczynają z kątów liści wypuszczać pąki kwiatowe, a następnie zawiązywać owoce. Chcąc mieć smaczną i delikatną jarzynę, musimy w czasie wzrostu owoców tembardziej zwrócić uwagę na podlewanie.

Gdy owoce dojdą do 20—30 cm. długości, zrywamy je do użycia. Nie należy jednak nigdy zrywać na zapas. Przechowywane w piwnicy, aczkolwiek trzymają się nawet parę dni zupełnie dobrze, więdną i tracą na delikatności.

Kabaczki rodzą bardzo obficie i dają ciągle nowe zawiązki aż do samych prawie jesiennych przymrozków; możemy więc mieć je świeżutkie przez cały sierpień i wrzesień. 4—5 dołków, obsadzonych kabaczkami, zupełnie wystarcza dla średniej rodziny przez cały czas plonowania.

Na zakończenie dodam parę słów o przyrządzeniu tej jarzyny. Sposobów jest bardzo dużo, a każdy naprawdę smaczny i zdrowy. A więc, kabaczki możemy robić faszerowane mięsem z ryżem (mięso przygotowujemy, jak na gołąbki), dla jaroszów przyrządzamy farsz ze środków kabaczków, które wydrążyliśmy, i po przepuszczeniu przez maszynkę dodajemy ryżu, cebulki, koperku, odrobinę pieprzu. Kabaczki do faszerowania obieramy ze skórki, przecinamy na połowę wpoprzek i wydrążamy, poczem odgotowujemy (by nieco zmiękły) w lekko osolonej wodzie, nadziewamy farszem i dusimy pod pokrywą w rondelku, dodając trochę masła i na spód odrobinę wody. Gdy będą zupełnie miękkie, a mięso już nie surowe, zalewamy sosem pomidorowym lub śmietanowym i, potrzymawszy czas krótki w piecyku, podajemy na stół. Smakują wybornie.

Możemy również pokrajać w talarki obrane i osolone (na durszlaku, by ociekły) kabaczki obsy-

pać mąką i smażyć na tłuszczu; lub, przygotowawszy poprzednio ciasto, jak na naleśniki, robić opiekane w cieście, smażyć, aż będą kruche, i zaraz podawać.

Na Kaukazie przyrządzają doskonałą potrawę, dusząc w rondlu pod pokrywą kabaczki, pokrajane w kawałki i kartofle w talarkach razem z pomidorami. Na dno rondla lejemy odrobinę wody i dajemy sporo świeżego masła. Kto lubi, może nieco popieprzyć. Doskonała przystawka do mięsa; może być też podana, jako oddzielne danie jarzynowe.

Na Podolu przyrządzają z kabaczków wymięnity „kapuśniaczek” na żeberkach wieprzowych. Do ugotowanego rosółu, po odcedzeniu włoszczyzny, wrzucamy drobno krajany kabaczek i parę pomidorów do smaku; „kapuśniaczek” taki jest b. delikatny, a podany z tłuczonymi kartoflami ze słoniną, smakuje doskonale.

Najprostszy sposób podania — to „kabaczki à la szparagi”. Obrany i wydrążony owoc krajemy w podłużne kawałki, odgotowujemy w osolonej wodzie i przed podaniem polewamy masłem ze zrumienioną bułeczką.

Jak widzimy, zarówno hodowla, jak i przyrządzenie tej jarzyny jest łatwe — co tembardziej powinno zachęcić do wprowadzenia uprawy kabaczków w naszym ogrodzie.

Zofja Wróblewska.

## LEGUMINY NA JAJACH

Od czasu, kiedy lekarze coraz większej ilości osób zalecają wstrzymywanie się od zup i kiedy tym zupom nawet zwykli, zdrowi ludzie odmawiają wszelkiej pożywności — szczególniejszej wagi w naszych codziennych jadłospisach nabrały leguminy.

Mięsa też obecnie jada się znacznie mniej, niż w czasach przedwojennych, jarzyny i sałaty są wprawdzie smaczne i zdrowe, jednak mało sycące. Legumina więc stała się już nie przysmakiem, deserem, „wetami” — jak ją nazywano w staropolskiej kuchni — lecz stanowi jedną z podstawowych części obiadu.

Rodzaje legumin, używane w różnych porach roku, należy, oczywiście, stosować do produktów, w które te pory roku najbardziej obifują. Do takich sezonowych legumin latem należą wszelkie drobne

## cukier krzepi

Badania Prof. Dr. Goldscheidera  
(Berlin 1931)

Dyrektora Uniwersyteckiej kliniki

wykazały, że 100 jednostek odżywczych czyli t. zw. kaloryj zawarty jest w 500 gramach sałaty, 400 gr. jarzyny, 100 gr. cielęciny smażonej, łososia, szczupaka, 80 gr. roastbefu, 70 gr. mózdzku cielęcego, 40 gr. kawioru

**i już w 25 gramach cukru.**

Cukier jest pożywniejszy prawie dwa razy od kawioru, prawie trzy razy od mózdzku, cztery razy od cielęciny i t. d.

owoce i potrawy z nich wraz z potrawami z mleka, śmietany, śmietanki; wszelkie kremy i pianki, kompoty i galarety, musy i lody. Upaty odbierają apetyt do dań tłustych, gorących i ciężkich. Już jesienią chętniej jadamy szarlotki i budynie, racuszki jabłeczne i knedelki śliwkowe. Zimą miejsce ich zastępują potrawy mączne, w których dużą rolę odgrywa ryż i sago, owoce suszone i konserwowane w Weck'ach, konfitury i syropy owocowe. Wiosna natomiast jest sezonem jaj i wszelkich z nich przetworów.

Jaj mamy w Polsce olbrzymie ilości. Pomimo, że eksportujemy ich bardzo dużo — a moglibyśmy eksportować jeszcze znacznie więcej, gdyby nie brak sumienności w handlu niemi, co podrywa zaufanie zagranicy do jaj polskich — miasta większe są literalnie zasypane jajami.

O rozmiarach eksportu jaj z Polski dają pojęcie następujące cyfry, zaczerpnięte z oficjalnych danych. Wywozimy rocznie 7.000 wagonów jaj — wyraźnie siedem tysięcy wagonów — zawierających nie mniej niż 900.000.000 — tak! dziewięćset milionów sztuk jaj — na sumę 140.000.000 złotych. I, niestety, eksportujemy jaja największe, najcięższe, najładniejsze; dla nas zostają wybiórki.

Możemy się pocieszać jedynie tem, że jaja są u nas wogóle zawsze, a tej wiosny w szczególności bardzo tanie, użycie ich więc jest dostępne nawet dla sfer najmniej zamożnych.

Z jaj więc, a przynajmniej na jajach, będziemy jadać codziennie leguminy: omlety i suflety, budynie i zapiekanki, naleśniki i racuszki, dodając do nich zawsze odpowiednią ilość owoców, chociażby suszonych lub konserwowanych, bo, niestety, poza rabarbarum, innych tanich owoców wczesną wiosną w kraju nie mamy. Kanadyjskich i australijskich jabłek, ani drogich, chociaż tak zdrowych pomarańcz nietylko przeciętna inteligentka rodzina dla ich drożyzny używać nie może, lecz nawet, ze względu na obowiązującą nas samowystarczalność, polecać tego nie wolno.

Z jaj i z jajami zrobić można literalnie setki rozmaitych legumin i leguminek, od najskromniejszych do najwykwintniejszych.

W starych książkach kucharskich ilości jaj, podawane w przepisach, są tak olbrzymie, że należy je poddać rozsądnej rewizji.

Już większość gospodyń się przekonała, że dwie i trzy kopy żółtek, używane dawniej do jednej (co prawda, olbrzymiej) baby, są przestarzałym przesądem, i dzisiaj równie smaczne, lekkie i pulchne ciasta pieczemy przy użyciu tylko piętnastu lub dwudziestu jaj. Lepsze drożdże, lepsze metody wyrabiania ciasta i pieczenia go doprowadziły do równie dobrych rezultatów przy mniejszych kosztach.

To samo stosujemy do legumin. Przeważnie liczymy jedno jajko na osobę; a nawet przy leguminach, do których inne pożywne wchodzi składniki, cztery jaja starczą na sześć, trzy jaja — na pięć osób. Chodzi tu głównie o potrawy na ubitych na pianę białkach, które w pieczeniu bardzo narastają. Zresztą, przy obliczaniu ilości potrzebnych jaj ogromną rolę odgrywa ich rozmiar i świeżość. Zasadniczo ten drugi wzgląd może być brany pod uwagę tylko jesienią i zimą, kiedy o świeże jaja trudno. Wiosną wszystkie jaja powinny być świeże. Natomiast w tym roku

**Oszczędzacie piorąc  
płatkami LUX**

**LUX**  
daje obfitą i łagodną  
pianę

**•• Obecnie znacznie tańszy!**

szczególniej, jaja są wyjątkowo małe i w wielu wypadkach, kiedy chodzi o pulchność i lekkość leguminy, chcąc ją dokładnie, według przepisu wykonać, należy zamiast dwóch liczyć trzy jaja.

Niezależnie od podanego w każdym przepisie sposobu przyrządzania potrawy, trzeba same żółtka doskonale ubić lub utrzeć. Uciera się je zwykle z cukrem do białości i pulchności masy, lub też, jeśli mają być użyte bez cukru, ubija się je w garnuszku, wstawionym do drugiego naczynia z gorącą wodą, aż zbieleją i znacznie zgęstnieją. Białka powinny być ubite na tak sztywną pianę, aby się nożem krajać dała, i przy dodawaniu jej do masy, przyrządzonej na leguminę, należy bardzo ostrożnie mięszać, by nie opadła. Dwa te warunki przygotowania żółtek i białek są konieczne, od nich zależy udanie się każdej gorącej — pieczonej, czy też gotowanej leguminy.

Mówiąc o stosowaniu jaj do legumin, muszę tutaj wspomnieć o jajach, używanych do lodów. Dawniej używano do wszelkich lodów śmietankowych tylko żółtek, obecnie używa się i białek, co nietylko smaku lodów nie psuje, lecz nawet daje im szlachetniejszy, że tak nazwę, aksamitny smak. Dodaje się białka bądź od razu, ucierając całe jaja z cukrem i zaciągając niemi mleko lub śmietankę, bądź też, wlewając surowe białka do nawpół ukręconych lodów przy ich zamrażaniu. Nie potrzebuję dodawać, że takich całych jaj znacznie mniej się używa. Do lodów owocowych znowu dodajemy białka surowe, wlewając je do formy, kiedy lody już zaczynają się lekko ścinać.

Odbiegłam od właściwego przedmiotu dzisiejszej pogawędki, którym miały być skromne, codzienne leguminy z jaj. Jednak muszę się zastrzec, że lodów

wiosną i latem wcale nie uważam za leguminę zbyt kowną. Jeszcze w mieście, gdzie lód kupić trzeba i gdzie sól, użyta do zamrażania, następnie się wylewa — lody są nieco kosztowniejsze. Lecz na wsi, gdzie lodu jest pełna lodownia, a szarą sól, użytą do zamrażania lodów, następnie odda się bydłu lub owcom — lody nie są wiele droższe od zaciąganego kremu, sufletu ze śmietanką, a nawet od zwykłego mleczka czekoladowego, czy waniljowego.

Wracając więc do skromnych legumin na jajach, mających zastąpić zupę i uzupełnić nieco zbyt lekki, przeważnie z jarzyn i sałat składający się obiad, przedewszystkiem polecieć mogą omlety. Takie omlety „soufflés” z oddzielnie ubitemi białkami, które można nakładać różnymi konfiturami, powidłami i marmeladami, można też, posypane cukrem i polane rumem, zapalić, lub wprost podać dobrze osłodzone. Następnie nadzwyczaj pożywne i zdrowe są różne mleczka, zapiekane w filiżankach, czy też w większych, ogniotrwałych formach i foremkach: kawowe i czekoladowe, waniljowe i cytrynowe, migdałowe i crème brûlée — zawsze równie łatwe do wykonania, proste i niekosztowne, podawane na gorąco i na zimno.

Dalej olbrzymia rozmaitość sufletów bądź z jaj całych, bądź z samych białek tylko, przyczem praktyczne gospodynie zużywają żółtka na sosy mleczne zaciągane, które można znowu stosować do różnych mącznych legumin dnia następnego. Nie sposób wliczać wszystkich możliwości zastosowania jaj w leguminach zimnych i gorących; mogą tylko polecać jak największe i najczęstsze ich użycie wiosną, kiedy są tanie i świeże — gdyż są bodajże najzdrowszym i jednym z najsmaczniejszych pokarmów.

*Pani Elżbieta.*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### SMARDZE DUSZONE.

Smardze, bardzo starannie oczyszczone z piasku (przy czym zwykle trzeba im uciąć koniec nóżki, gdyż inaczej piasek nie da się usunąć), poprzekrawać na połówki, duże na cztery i więcej części i wrzucić do kubelka z zimną wodą. Dawniej zalecałam zaparzać smardze wrzątkiem, ale się przekonałam, że przez to tracą dużo smaku i aromatu. Płókać grzybki, mieszając je mocno w wodzie, poczem chwilkę potrzymać w spokoju, aby piasek i inne nieczystości opadły na dno kubelka. Wybrać smardze durszlakiem, lub wyłożyć łyżką na sito, dać doskonale osiąknąć z wody. Na kilo smardzów wziąć piętnaście deka masła, zasmażyć ze sporą, drobno pokrajaną cebulą, włożyć smardze, osolić, dusić kwadrans do dwudziestu minut. Obsypać łyżką mąki, zagotować razem, nakoniec wlać dwie szklanki śmietany rzadkiej, lub szklankę gęstej i szklankę rosolu, smaku z jarzyn, lub, w ostateczności, wody. Zagotować razem, spróbować, czy mają dosyć soli, odrobinę popieprzyć i podawać. Bardzo dobrze do nich smakują kartofle, ugotowane na parze, polane topionem masłem i posypane młodym koperkiem.

## Cerownia sztuczna

podartych sukien, ubiorów, jedwabi oraz specjalny dział cerowania bielizny stołowej systemem zyrardowskim, stare krawaty, wytarte przerabiamy na nowe.

**S. KELLER — Warszawa**

Marszałkowska 118, Nowy-Świat 37,  
Twarda 24.

515

### NALESNIKI Z RABARBARUM.

Cwierć kilo lodyg rabarbarowych, oczyszczonych z włókien, pokrajać w cienkie płatki, zmieszać z piętnastoma deka cukru i wolniutko zagotować na zakrytej blasze, aby się cukier nie przypalił, zanim rabarbarum dosyć soku z siebie puści. Do tej masy dodać skórkę z pół cytryny, otartą na delikatnej tarce, łyżkę (5 deka) śmietankowego masła i kieliszek rumu lub araku. Całą masę utrzeć doskonale. Upiec naleśniki z dwóch jaj i szklanki mąki. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Kłaść w nią naleśniki, każdy smarując owocową masą. Wstawić do pieca, aby się dobrze zrumieniły. Wyłożyć na półmisek i posypać grubo cukrem-pudrem.

### LEGUMINA Z KAWY.

Szklankę bardzo mocnej kawy, ugotowanej bez cykorji, zmieszać z pół szklanką dobrej śmietanki, pół szklanką sklarowanego masła i zagotować. Na wrzącą wsypać niepełną szklankę mąki pszennej, wybijać mocno drewnianą łyżką, aż od rondelka odstanie. Gdy przestygnie, wbić po jednym cztery żółtka, mocno ucierając ciasto. Nakoniec ubić pozostałe białka na sztywną pianę, ostrożnie wymieszać z ciastem, przelozyc na metalowy półmisek, wysmarowany grubo masłem. Ładnie uformować w piramidę i wstawić w piec niezbyt gorący. Gdy już ładnie urosnie i prawie gotowe, dodać trochę ognia, aby się po wierzchu zrumieniło. Podawać na tym samym półmisku, wprost z pieca, aby nie opadło. Oddzielnie podać dobre, zimne mleko lub śmietankę.

*Pani Elżbieta.*

## Raz się tylko żyje —

dlatego też należy sobie życie możliwie ułatwić, a czas tak wykorzystać i rozłożyć, aby mieć jaknajwięcej chwil wolnych od zajęć. Powinno to być dążeniem każdego pracującego, a zwłaszcza gospodyni domu, poświęcającej bardzo wiele czasu czynnościom domowym, które można znacznie uprościć. Do takich uciążliwych zajęć należało pranie. Obecnie, dzięki płątkom mydlanym *Lux*, czynność ta została znacznie ułatwiona. Delikatne tkaniny, kolorową bieliznę, jedwabne pończochy i rękawiczki szybko i bez trudu pierze *Lux*. Jego łagodna i obfita piana skutecznie działa na tkaninę, odnawia ją, nie niszczy i doskonale konserwuje kolory.

*Należy zwrócić specjalną uwagę na to, że LUX sprzedaje się tylko w oryginalnych paczkach, nigdy zaś luzem.*

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymarska 8, tel. 244-18.